Nr. 14. Warszawa, dnia 23 Marca (4 Kwietnia) 1896 r. Rok XVI.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie. z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

O PODATEK.

Po długich naradach i dociekaniach nareszcie komisya budżetowa, złożona początkowo z 27 przeciwników a sześciu tylko zwolenników podatku od dochodu, rosnącego w miarę zamożności — stąd *impot progressif*—nareszcie w zaprzeszłym tygodniu zaleciła Izbie deputowanych odrzucenie go jako szkodliwego dla Francyi. Przez czas obywatelskiego pocenia się nad projektem, w imieniu radykalnego rządu wniesionym przez ministra skarbu Doumera, ubyło podatkowi jeszcze trzech zwolenników, tak, iż w dniu rozpoczynania obrad (d. 21 b. m.) dwóch tylko dotrwało na stanowisku, a jeden nie śmiał go opuścić. Pracom w laboratoryum budżetowem towarzyszyszyła z zewnątrz kocia muzyka gazet oportunistycznych, które porównywały już Bourgeois'a z Baratierim: tak samo niby pilno mu było uciec z pola walki. i dlatego tylko nalegał na śpieszne rozprawy. Rzecz prosta, Izba mogła projekt tylko odrzucić — Bourgeois upaść musiał. Dnia 26 b. m. Izba projekt utrzymała, zasadę jego samą, dochodową podstawę i rosnącą stopę podatku, przyjęła — a Bourgeois stoi i upadać nie myśli, i do ostatniego marca jeszcze się trzymał na nogach.

Rozprawy w Izbie odsłoniły niejeden fakt i pogląd zajmujący. Po mowie Jaurès'a, od której rozpoczęła się walka, przemówił słodki Say, jako obrońca republikanizmu i wolności, a przytem, samo z siebie się rozumie — i dobrobytu ekonomicznego Francyi. Podatek dochodowy szczególniej dla wsi będzie straszny — dowodził p. Say. Dnia 23 z. m., w drugim dniu rozpraw, L'Hopitoaux stanął w obronie podatku. Sprawozdanie komisyi sprawia wrażenie takie — mówił— jak gdyby cały naród składał się ze złodziejów i oszustów. O podatku myślał już Gambetta, tkwił on już w dawnym programie demokracyi. Nawet taki Casimir-Perier za nim przemawiał, a Rouvier uważał go za najlepsze lekarstwo na chorobę socyalizmu.

Turrel jest przeciwnikiem projektu: Ze skarbowości zrobiono politykę. Podatek nie zaprowadzi równowagi w ciężarach, nie zadowoli sprawiedliwości. Prawda, że we Francyi na 4 miliardy fr. trzy płacą robotnicy; ale przetworzenie opłat od trunków skuteczniejszem tu będzie, niż wszelkie podatki od dochodów. Rząd pociąga nowych sześć milionów obywateli do ciężaru podatkowego. Kapitały uciekną z Francyi; już teraz Niemcy ułatwiają im ucieczkę. Rolnik za wszystko zapłaci, co ukryje przemysłowiec, kupiec i kapitalista. Ocenianie całej masy majątku jest równie niebezpiecznem, jak coraz wyższe obciążanie w miarę wysokości mienia. A przy tem wszystkiem niemoralność — miałażby Izba lekceważyć niemoralność podatku, opartego na deklaracyach osobistych?

Na zaklęcie odpowiedział Codet, że Prusy już od r. 1820 mają podatek dochodowy rosnący (*Einkommensteuer*), a Austrya zaprowadziła u siebie nawet trzy rodzaje takiego podatku. Francya dotychczas nie opodatkowała majątku ruchomego. To nie polityka — to uczciwość i sprawiedliwość.

D. 24 b. m. wstąpił na mównicę słynny agraryusz Meline. Zaczął od krzywdy małych rolników — przez grzeczność, ponieważ sam jest wielkim. I przemysł odrętwieje: mało kto założy fabrykę, robotnicy będą gorzej wynagradzani. Nawet paryska rada municypalna oświadczyła się przeciw podatkowi — twierdził p. Méline. Na to podniosła się taka wrzawa, że mówca osierocił trybunę. Brisson ugłaskał wrzeszczących, i Meline zaczął na nowo: Podatek—to zamach na pracę i jej źródła. Dla wielkiej czerni narodu pożyteczniejszą byłaby reforma podatków pośrednich. Ocenianie *en globe* przez samego płacącego mogłoby jedynie złe zmniejszyć. Przyjęcie byłoby zdradą względem wyborców i błędem nie do darowania.

Ocenianie całej masy, bez rozróżnienia źródeł (*systeme global*) nie podoba się i Trouillot'owi, przemawiającemu jednak za samą zasadą przewodnią projektu.

Po tem sprawozdawca komisyi, Delombre, nazywa projekt jakiemś wypracowaniem akademickiem. I jemu znowu kapitały uciekają za granicę, moralność upada — przyszłość narodu chmurami zachodzi. Wymowa Delombre'a przelała się na następne posiedzenie.

Z mowy sprawozdawcy w d. 25 z. m. zasługuje na uwagę zeznanie, że nawet podatki bezpośrednie, przez zły rozkład wydają się jakby były przeciw ubogim wymierzone, że podatek od okien jest dla ubogiego szczególnie uciążliwym (projekt rządowy zaczyna od zniesienia go) i że podatki we Francyi teraz już są postępowe, rosnące, gdyż wyciskają tem więcej, im większą nędzę mają przed sobą. Sprawozdawca zakończył wezwaniem, już nie do odrzucenia, ale do jasnego objawienia woli. Izba będzie musiała reformę przeprowadzić, ale przytem i wymódz poszanowanie dla praw i swobód.

Zdaniem ministra Doumera, Delombre uosabia politykę oporu przeciw postępowi demokratycznemu. Podatek dochodowy wchodził zawsze do programu republikanów — rzetelnych, oczywiście. Żądali go niegdyś ekonomiści, pragnął Gambetta; nawet Magnin, dyrektor Banku francuskiego, za potrzebny go uważał. Dziś wieją wichry reakcyi. Leroy-Beaulieu dużo zawinił. Projekt można poprawić, byle zasadę utrzymać. Podatek ten lżej dotknie kapitalistę, niż robotnika (opodatkowanie od 2,500 fr.). Kapitał nie ucieknie.

Obowiązek deklaracyi istnieje w Anglii. Rząd zrobił już próbę rozpisania podatku: wyniki dobre; tylko na bogaczów wszędzie więcej przypadło, a ubogim ciężaru ubyło. Sztuczna agitacya chce zabić reformę (prawica przerywa). Izba dała rządowi wyraz zaufania — czy dlatego, aby nic nie robił?

Ostatniego dnia rozpraw, 26-go, walczy z rządem prezes komisyi budżetowej, Cochéry. Projekt rządowy nie jest ewangelią; aby go roztrząsnąć, potrzeba wiedzieć, czego się ma chcieć (!). Zasada, że skarb powinien znać wszelkie źródła dochodów, podsyci ducha denuncyacyi z pobudek zawiści i nienawiści. W praktyce rząd będzie drakońsko ścigał przeciwników swoich. W Anglii niema deklaracyj co do pojedynczych źródeł. W Prusiech podatek wzmacnia arystokratyzm feudalny. Gambetta chciał wprawdzie podatku — ale na jego niebezpieczeństwa miał oczy otwarte. Rewolucya nie czepiała się osobistości; chciała raczej przenieść ciężar z osób na rzeczy. Przyjęcie pociągnie za sobą *straszliwą reakcyę*. Zakończył Cochéry Guizotem: „Zabija się tylko biednych, gdy się chce zgnębić bogatych."

Izba ma głosować na rezolucye. Będzie ich kilka. Najpierwszy Guillemet wnosi: „Izba chce reformy, odrzuca fiskalność, dla oszacowania i deklaracyi wymaga podstaw prawnych i wzywa rząd, aby wespół z komisyą budżetową już przy budżecie na 1897 r. wprowadził nowy projekt podatku od dochodu." Dron, przeciw Guillemet'owi, nie chce upadku gabinetu; ale Poincaré go pragnie, więc rezolucyę popiera. Bourgeois dopomina się przedewszystkiem głosowania na Guillemet'a. Rząd jasno stawia sprawę: znosi podatki od okien i ruchomości, a chce podatku od dochodu stamtąd, skąd go można wziąć najwięcej. Jeśli Izba na to nie pozwoli, ludzie dzisiejsi ustąpią miejsca innym. Izba rezolucyę Guillemeta odrzuca.

Po krótkiej rąbaninie między Poincaré'm a Millerandem, występującym w obronie projektu, Dron stawia wniosek: „Izba wyraża zaufanie do rządu, pragnącego zastąpić opłaty od ruchomości, od drzwi i okien, przez podatek dochodowy i pozostawia komisyi wraz z rządem złożenie projektu tego podatku." Taką rezolucyę rząd przyjmuje. Po wielu jeszcze utarczkach, Meline'a, Cochéry'ego i Poincaré'go z Doumerem i Bourgeois, Maurycy Faure proponuje dodanie zastrzeżenia: „aby roztrząśnięto kwestyą oceniania i deklaracyi"— przyjętego również przez rząd.

Izba 297 gl. przeciwko 249 uchwala zaufanie. 284 do 277 przyznaje pierwszeństwo wnioskowi Faure'a. Jest to prawie klęska — gdyż w większość wpłynęło aż 9 głosów samych ministrów. Prawica korzysta z tego i przypuszcza ostatni szturm. Słychać głosy: „Dymisya, dymisya!" Bourgeois przyjęcie wniosku Faure'a przedstawia jako sprawę zaufania do rządu. Wniosek przyjęty 285 przeciw 276. Piekielny wrzask w Izbie. Godzina jedenasta w nocy. Czas już wielki głosować nad całkowitą rezolucyą Drona-Faure'a. Nareszcie los się uśmiecha: Izba wydaje uchwałę przychylną 286 głosami przeciw 270. Krzyki: „Dymisya, dymisya!" — towarzyszą ministrom jeszcze w kurytarzach. Rząd ocalał, ale z podatkiem—co będzie?

Tydzień polityczny. Izby przedlitawskie odroczone do 9 b. m.; Izba panów przyjęła budżet, tym sposobem już ostateczny. Reforma wyborcza po świętach. Ugoda z Węgrami na dobrej drodze: prawdopodobnie przystaną na podniesienie dotychczasowego udziału 30%, wzamian za ustępstwa ekonomiczno-handlowe. W Izbie deputowanych Przedlit. szesnastu Niemców zażądało od p. Badeniego wyjaśnienia: co rząd myśli o wywnętrzeniu się pruskiego ministra oświaty, Bossego (w d. 27 lutego i 3 marca), iż agitacya z Galicyi szkodliwie oddziaływa na ludność polską w Prusiech?

Komisya długów w Kairze uchwaliła d. 26 z. m. wydanie rządowi anglo-egipskiemu pół miliona funtów na wyprawę do Sudanu. Przedstawiciele Rosyi i Francyi zaprotestowali i opuścili zgromadzenie.

Berthelot nie jest już ministrem Wydział spraw zagranicznych objął Bourgeois; sprawy wewnętrzne oddał Sarrienowi. Ma pozmieniać dyplomatów: do Berlina wysyła Cambona z Konstantynopola.

D. 26 z. m. Izba deputowanych we Francyi uchwaliła samą zasadę rosnącego podatku od dochodów; projekt będzie przerobiony. Szczegóły na wstępie.

Proces Dupas'a ujawnił winę Ribota i Loubeta w niedościgu Artona w r. 1893. Demokraci domagają się sądu. Rządowi wystarcza wyrok opinii.

W procesie szajki, wyzyskującej Lebaudy'ego, dwóch tylko skazano. Główny, Saint-Cere (Rosenthal) wyśliznął się i pływać będzie na nowo.

Ks. Ferdynand d. 26 z. m. przybył do Konstantynopola. Sułtan niesłychanie był dla niego uprzejmym, dał mu wysoki order, zjadł z nim obiad, rozmawiał długo i słodko i świadczył mu tysiące grzeczności. Książę otrzymał tytuł „Królewskiej Wysokości," uznany już przez dyplomacyę.

Nad Nilem już małe niepowodzenie Sudańczycy rozbili jakiś oddział wywiadowczy. Gen. Kitchener obejmuje dowództwo. Wojsko z Akaszeh ruszy trzema gromadami. Derwisze widocznie byli przygotowani na walkę Anglików będzie pułk cały, nie ba-...

Pokój Włoch z Menelikiem jeszcze nie zawarty. Może być jeszcze i wojna. Rudini przeczy, jakoby negus żądał kosztów wojennych. Zjazd w Wenecyi d. 11 b. m.

W Konstantynopolu znać roboty francuskie dla wywarcia nacisku na Anglię, aby ustąpiła, *resp.* oznaczyła termin ustąpienia, z Egiptu.

W Anglii ministrowie ciągle oracyonują. Chamberlain i Curzon pomagają *Times*'owi do bałamucenia Europy i podżegania samej Anglii. Stosunki z Transwaalem znowu niedobre: Kruger nie chce jechać do Londynu. W Matabele krajowcy wyrznęli trochę białych. Rhodes pośpieszył na miejsce. Anglicy wypierają się nabycia zatoki i pobrzeży Delagoa. Salisbury z królem belgijskim na Rivierze ułożyć się ma o współdziałanie państwa Kongo z wyprawą Kitchenera. Zaczepionoby kraj podrównikowy od południa. Działanie w wielkim stylu.

W Chinach znowu gwałty i rzezie.

W Sejtunie jeszcze niepewność. Wysłańcy konsulatów zostali na dłużej.

Ces. Wilhelm d. 14 b. m. ma zawitać do Wiednia.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

ZAPOMNIANI.

I.

W ostatnich czasach do fejletonisty *Now. Wrew.* zgłosiło się dwu farmaceutów w imieniu wielu, z prośbą o wzięcie ich w opiekę moralną. Kronikarz, będąc ostrożnym, zapowiedział w piśmie, że zadośćuczyni tym żądaniom, skoro zbierze odpowiedni materyał faktyczny. Na to otrzymał z różnych krańców państwa siedemnaście listów, prawie jednakowo brzmiących. Właściwie nie są to listy, lecz całe kajety protokółów, z których pewna część „kwalifikuje się na stół sądowy." Materyał ten podaje tylko sumę znamiennych faktów, którym warto się przyjrzeć chociaż pobieżnie, tem bardziej, że i my również dostrzegliśmy sporo zupełnie podobnych faktów. Oto tryb i warunki pracy: pierwszego dnia od 8-ej rano do 10-ej wieczorem, czyli godzin 14; drugiego dnia od 8-ej rano do 12-ej w nocy, tj. 16 godzin; trzeciego tak samo i nadto dyżur nocny od 12-ej do 8½ rano, tj. przeszło 24 godziny. Po całej nocy wolno 1½ godziny odpocząć. Czwartego dnia praca trwa od 10-ej rano do 10-ej wieczorem, tj. 12 godzin. Piąty dzień przeznaczony na wypoczynek, a dalej znowu według trybu powyższego. Licząc te pięć dni wraz z dobą wypoczynku, otrzymamy w sumie 120 godzin, z których farmaceuta musi pracować 66, na własny zaś użytek pozostaje mu 54. Odtrąciwszy z tego po 8 godzin na sen i po godzinie na inne czynności, jak posiłek, ubieranie się itd., otrzymamy na pięć dni tylko *dziewięć* godzin, w ciągu których pracownik tej kategoryi czuje się niezależną moralnie i fizycznie jednostką społeczną. Po za tą drobiną czasu jest on całkowicie zaprzedany przedsiębiorcy-aptekarzowi. Za 15 rs. miesięcznie jako praktykant i 20—30 jako pomocnik prowizora, oddaje swemu zarobkodawcy całą swą energię, wiedzę fachową, wszystkie swe zdolności, częstokroć bardzo mizerne, bo przytłoczone w zarodku ogromem pracy; wreszcie nie jest nawet panem swych myśli, bo one przyrosły do słoików i recept.

„W atmosferze, przesyconej gazami aptecznymi, pracujemy po 14 i więcej godzin na dobę bez wytchnienia, a podczas dyżurów nieraz nawet po *36!*" Tak się skarży jeden z tych murzynów. W niektórych aptekach dyżury nocne wypadają po 7 i 8 razy miesięcznie, nieraz trzeba czuwać po dwie noce z rzędu. Ktoś opowiada, że musiał dyżurować 11 razy miesięcznie. Po dwunastogodzinnej pracy dziennej, farmaceuta, przeznaczony do dyżuru, zostaje nadal w aptece od 10-ej wieczorem i dwie lub trzy godziny jeszcze jest w takim wirze zajęcia, jak cały dzień. Dopiero dobrze po północy może trochę oczy przymknąć, ciągle z niepokojem, bo lada chwila ktoś zadzwoni. Dyżurny taki pod względem czuwania niczem się nie różni od stróża, który o tyle jest jeszcze w lepszem położeniu od pracownika aptekarskiego, że mu „dychy" wpadają do ręki, a dla otwierania bramy nie trzeba przytomności umysłu. Farmaceuta, dyżurujący, pomimo zupełnego wyczerpania, powinien zawsze mieć uwagę natężoną, zaspany musi odcyfrować nieczytelną receptę, akuratnie wymierzyć i przyrządzić lekarstwo. Obok załatwiania pilnych recept, nieraz musi się zrywać w nocy, ażeby poczęstować pijanego przechodnia wodą sodową, wysłuchać jego dowcipów lub czasem słów zniewagi. Jeżeli po 20 godzinach pracy i bezustannego czuwania umysłu zdarzy się omyłka, farmaceuta „nieuważny," oprócz pozbawienia zarobku, może być pociągnięty do surowej odpowiedzialności, gdy właściciel, który skazał go na

pracę nad siły, nietylko ma spokojne sumienie, ale nawet nic nie traci na lekarstwie, omyłkowo sprzedanem. Z apteki stworzył on proceder handlowy, wyjątkowo uprzywilejowany, bo obok zawsze dużych i niewątpliwych zysków (w wielkich miastach) ma on prawo handlować przez całą dobę bez przerwy, orzeźwiać pijanych wodą sodową, sprzedawać w nocy wszelkie pachnidła.

Zobaczmy, jak wygląda praca wewnętrzna tych zakładów, ukryta przed wzrokiem publiczności. Farmaceuta-asystent, przyrządzający specyalnie lekarstwa według recepty, dlatego ażeby wykonać to *lege artis*, powinien zużyć na zrobienie jednego „numeru" przeciętnie 15—20 minut; przytem jeżeli robi pigułki lub wszelkie inne lekarstwa skomplikowane, musi poświęcić na to znacznie więcej czasu, tj. przynajmniej pół godziny. Po użyciu przeciętnie 15—20 minut na każdy numer, farmaceuta zdolny i sumienny może w ciągu 14-godzinnego dnia roboczego zrobić zaledwie 40 numerów. W aptekach bardzo wzorowych nigdy się nie wymaga wyższej normy. W znacznej atoli większości rzecz się ma zupełnie inaczej. Przedsiębiorca aptekarski, nie chcąc obciążać swego budżetu personelem, odpowiednim do ruchu w jego zakładzie, wymaga, ażeby asystent przyrządził dziennie 70 i więcej numerów. Na zmieszanie proszku z 1 grana morfiny i cukru, rozdzielenie go na 12 części, wsypanie do papierków i zawinięcie, trzeba przynajmniej 20—25 minut; większość atoli, zmuszona koniecznością, załatwia tę czynność w ciągu pięciu lub sześciu minut. Jeżeli pracownik zechce się rządzić więcej sumiennością, niż wymaganiami swego zwierzchnika, to oczywiście wykona zaledwie połowę wymaganej roboty w ciągu dnia, a gdy to spostrzeże pryncypał, usunie go, jako leniucha i niezdarę. Czy podobna wymagać rzetelności względem ogółu spożywców od pracowników tak ciężko obarczonych?

Obok przeciążenia pracą, większość farmaceutów pozostaje w okropnych warunkach hygienicznych. Odżywiają się licho, mają częstokroć takie mieszkania, że gdyby one podlegały władzy komisyj zdrowotnych, niejeden przedsiębiorca stanąłby przed kratkami sądowemi, a może nawet znalazłby się i za kratą. „W oczach właściciela — skarży się jeden z tej rzeszy — farmaceuta stoi niżej, niż ciemny robotnik apteczny, bo o pierwszego zawsze jest łatwiej; mrowie kandydatów rzuca się na każde miejsce wolne." Dlatego też mało jest zawodów, w którychby tak przerzucano ludzi, jak w aptekarstwie. W niektórych zakładach pracownicy zmieniają się, jak goście w hotelach. Przez jedną aptekę np. w ciągu miesiąca przeszło *dwudziestu*.

U nas, w Warszawie, jako wielkiem mieście, prawie wszystkie apteki cieszą się ogromnem ożywieniem i obsługiwane są zbyt szczupłą garstką pracowników. Znaliśmy jednego z nich, który przez długi czas spędzał wszystkie noce przy pracy i doszedł do takiego rozstroju nerwów, że pomimo znużenia mógł zaledwie trzy godziny sypiać na dobę. Gdyśmy go spotkali przed kilku laty, uskarżał się na krwawe plwociny; potem zniknął nam z oczu, a może i ze świata. Sprawozdania towarzystw farmaceutycznych niejednokrotnie wykazywały zabójcze skutki pracy aptekarskiej; ale pomimo jaskrawych faktów, pomimo że członkowie tych towarzystw są przeważnie właścicielami aptek, nie pomyśleli oni dotąd o usunięciu, a przynajmniej złagodzeniu szkodliwych warunków pracy. Między innemi stwierdzono niesłychanie wysoki procent suchot i chorób umysłowych śród farmaceutów.

Obok haniebnych warunków materyalnych i fizycznych, potrzeby umysłowe tych pracowników, nawet w granicach ich zawodu, są całkowicie wykreślone z programu życiowego. Niewielu zapewne jest takich, którzyby przeczytali chociaż jeden podręcznik z dziedziny farmacyi; nie mają na to czasu. W zakresie swej specyalności nie posiadają oni gruntownej nauki, a cóż dopiero mówić o ogólnym rozwoju umysłowym? Jego skala stała się przysłowiową śród inteligencyi, zajmującej lepsze stanowiska, obranie zaś zawodu aptekarskiego jest słusznie uważane za krok rozpaczliwy, ostateczność dla młodzieży wykolejonej. Groźba, wypowiedziana przez rodziców lub opiekunów niezdolnemu albo leniwemu chłopakowi: „Oddam cię do szewca!" — dziś nie jest już tak straszną, jak: „Pójdziesz do apteki!" — bo szewc większe ma widoki zdobycia stanowiska niezależnego, sprzedaje bowiem tylko owoce swej pracy, gdy farmaceuta — cały zasób swych sił, swoją godność i uczciwość.

PAMIĘTNIK.

Wystawa afiszów i reklam.

Czemużby i tem się nie pobawić, zwłaszcza że akurat mogą wypaść chłody i deszcze i „elegancka Warszawa" nie będzie miała sposobności okazania na ulicy mody wiosennej. Zresztą, co to są wystawy? Są to popisy owoców pracy krajowej. A ponieważ istnieją u nas zbieracze: marek, pudełek od papierosów, guzików itp. rzeczy, więc dlaczego nie odsłonić przed światem tych „skarbów?" Że wybór padł na afisze i reklamy — wydaje nam się bardzo naturalnem i słusznem. Bo naprzód, czy jest dokument życia ludzkiego, któremu przypisywalibyśmy większą wagę, któryby nas bardziej wzruszał, któremu zawdzięczalibyśmy potężniejsze wrażenia, niż afisz — koncertowy lub teatralny? Z nim nie może iść w porównanie żaden akt historyczny, żadna pamiątka. Powtóre, głównym wątkiem naszego (i ogólno-cywilizowanego) życia, służącym do tkania, wyszywania i haftowania najbarwniejszych i najpiękniejszych jego obrazów, jest reklama. Czyż więc może być obojętną dla nas galerya tych wzorów, według których wysławia się: niezawodny środek na wytępienie robactwa, zacnych obywateli, zajętych wyłącznie cudzą niedolą, smarowidło zabezpieczające drzewo od gnicia, gorsety nadające kalekom biust Wenery, pułapki na szczury, dzieła filozoficzne przeciw wątpieniu itd. itd. Jeżeli każdy z nas chętnie zwiedza fabrykę dywanów lub szkła, ażeby poznać sposoby wyrabiania tych produktów, bądź co bądź zaspokajających tylko cząstkę naszych potrzeb, to z jakąż ciekawością obejrzymy warsztaty reklamy, która wypełnia wszystkie dziedziny naszego bytu! Tylko też szczerą i głęboką wdzięczność czuć możemy dla inicyatorów wystawy, którzy zapewne potem pomyślą o urządzeniu innych tegoż samego znaczenia. Tak np. niezmiernie pouczającą i wpływową byłaby wystawa koników drewnianych dla dzieci, wykałaczek do zębów, gilz papierosowych, batów furmańskich, guzików liberyowych i — (w modelach woskowych) serc tańczących na dochód ubóstwa.

Łacina dla kobiet.

Jakkolwiek języki starożytne w wychowaniu publicznem mają jeszcze grunt mocny, zaczyna on już im potrosze się usuwać. Coraz bardziej w sfery rządzące i umysły ogółu przenika to przekonanie, że już nadszedł czas, jeżeli nie zupełnego usunięcia, to przynajmniej ograniczenia przeżytku pedagogicznego, który zużywa olbrzymią masę energii umysłowej dzieci bez odpowiedniej dla nich korzyści. Jak wiadomo, nad tą sprawą obraduje w Petersburgu osobna komisya, której wnioski nie są jeszcze ostatecznie uchwalone, ale niewątpliwie okroją znacznie klasycyzm w szkołach. Pewien ślad tej dążności widzimy w świeżo opracowanym programie egzaminów dla kobiet, wstępujących do instytutu medycznego. Pierwotnie miano od nich wymagać pełnej gimnazyalnej miary łaciny; obecnie — jak donoszą *Nowosti* — warunek ten zredukowano do zakresu czterech klas gimnazyalnych. Byłoby to bardzo pożądanem i zasadnem, bo jeżeli uczniowie po 7 latach wytężonego ćwiczenia się w języku łacińskim nie mogą opanować jego trudności, to jakież brzemię muszą dźwignąć uczenice, które w szkole wcale się nie uczą tego przedmiotu i zdobywają go dopiero po za nią! Że zaś przy czteroklasowej łacinie można być bardzo dobrym lekarzem, a nawet prawidłowo jej terminami określać choroby — to nie ulega żadnej wątpliwości. A gdyby nawet doktorka zaczęła pisać artykuły naukowe mniej upstrzone makaronizmami zgoła niepotrzebnymi, gdyby zamiast: *polioencephalitis superior et inferior* wyraziła się: „górne i dolne porażenie opuszkowe," albo zamiast: *stagnatio* — „zastój," zamiast: *dexter et sinister* — „prawy i lewy" — doprawdy ani nauka, ani pacyenci nieby na tem nie ucierpieli.

Krzywdziciel.

Niejaki p. Berendt urządził w Muzeum przemysłowem „seans antispirytystyczny." To przedstawienie różniło się od innych tem, że mistrz po każdej „sztuce" wyjaśniał obecnym jej tajemnice i sposoby wywoływania złudzeń. *Kuryer warszawski* opisawszy z kwaśną miną przebieg widowiska, dodaje: „Były to odkrycia ciekawe i pouczające; swoją drogą czy *po chrześciańsku* czyni p. Berendt, pozbawiając tą drogą kolegów zawodu chleba, a publiczność przyjemnych złudzeń — *wątpimy*." Już wiele dzikich pojęć prasa nasza wpakowała w wyraz „chrześciański," którego oględniej używać powinna; ale żeby pod jego opiekę stawiała również kuglarzy, o tem jeszcze nie słyszeliśmy i tego nie spodziewaliśmy się. Bo pomimo że ci artyści dostarczają nam „przyjemnych złudzeń," zawód ich ma co najwyżej prawo do tolerancyi i gdyby zniknął, przyniósłby społeczeństwu więcej pożytku, niż szkody. I dziś już okazują mu one wyraźną wzgardę: nazwa „kuglarz" jest wszędzie uważana za obelgę, karaną sądownie; i dlatego zapewne zastąpiono ją mianem „prestidigitator," które brzmiąc dziwaczniej i niezrozumialej, zachowuje pewien urok. Niewątpliwie p. Berendt skrzywdził swoich kolegów, zdradzając ich tajemnice, ale skrzywdziłby również

szulerów ten, ktoby odsłonił ich sposoby wygrywania. Czy jednakże postąpiłby nie „po chrześciańsku"? W ostatnich czasach urządzono rozmaite wykłady dla zaznajomienia ludzi z tem, co obowiązkowo wiedzieć powinni. Otóż ponieważ prasa nasza zbyt często grzeszy przeciw pierwszemu przykazaniu i bierze „imię Pana nadaremnie," radzilibyśmy, ażeby ktoś — np. *Przegląd katolicki* — w szeregu lekcyj wyćwiczył ją w Nowym Zakonie i przedstawił jej zasadnicze artykuły nauki Chrystusa. Możeby ona wtedy mniej nadużywała jej wyrazu a lepiej rozumiała ducha. Dziś wygląda ona strasznie neoficko.

Figle współzawodnictwa.

Przed kilkunastu laty *Słowo* zmonopolizowało sobie Sienkiewicza i zdawało się, że już go nigdy nie wypuści ze swoich objęć, że na jego sławie zbuduje sobie trwałe powodzenie. Naraz intratny powieściopisarz wymknął się z uścisku i uszczęśliwił swojem piórem innych. Gdyby tylko poprzestał na *Bibliotece warszawskiej*, *Słowo* połykałoby zawiść w skrytości, ale nieszczęście mieć chciało, że autor „trylogii" jednocześnie wszedł w układy z *Gazetą polską*. Odtąd rozpoczęły się figle konkurencyjne ze strony pogardzonego organu, które charakterystycznie ujawniły się w odpowiedzi redakcyi (nr. 127 r. 1893): „Z powodu otrzymanych zapytań, czy *Słowo* nie będzie przedrukowywało powieści Sienkiewicza „Rodzina Połanieckich," mamy zaszczyt odpowiedzieć co następuje: Czytelnicy dziennika naszego przywykli, że wszystkie większe dzieła Henryka Sienkiewicza dostawały im się przed wszystkimi z pierwszej ręki w odcinku *Słowa*, w którym, jak dotąd, ukazywały się tylko przedruki drobniejszych utworów tego pisarza. „Rodzina Połanieckich" ma być powieścią obszerniejszą..." Wyjaśniwszy następnie niedogodności techniczne przedruku, redakcya zapewniła swoich czytelników, że woli czekać, aż Sienkiewicz obdarzy ją bezpośrednio nowym płodem swojej twórczości, wielbicielom zaś jego talentu poradziła, aby się zwrócili do *Biblioteki warszawskiej*, „gdzie obok powieści niezrównanego pisarza, znajdą dobór artykułów bardzo ciekawych i przez pierwszorzędne siły literackie opracowanych. Zresztą zapewnić ich możemy, że „Rodzina Połanieckich" ukaże się w osobnem wydaniu." To skwapliwe zachwalanie *Biblioteki* i zapewnienie, że się ukaże osobne wydanie, aż nadto wyraźnie zdradza chęć odsunięcia uwagi ogółu od współzawodniczki — *Gazety polskiej*. Ale oto inny figielek konkurencyjny dziwnie okrył „pierwszą rękę" *Słowa* (zapewne prawą): Dziennik ten zawiadamia swych czytelników, że będzie *przedrukowywał z Tygodnika ilustrowanego* najnowszą powieść Sienkiewicza p. t. „Krzyżacy." Jak to czasem trzeba liczyć na krótką pamięć i naiwność ogółu!..

Towarzystwo muzyczne.

Instytucya ta święciła w ubiegłym miesiącu dwudziestopięciolecie swego istnienia. Ogół miłośników muzyki ma jej do zawdzięczenia sporo chwil przyjemnych, ale mógłby też jej uczynić i zarzutów trochę. Przez to ćwierćwiecze przeszła ona kilka okresów rozwoju i upadku, miała i świetne chwile i borykała się z niepowodzeniem, miernością sił i zanikiem na estradzie poczucia prawdziwie artystycznego. Wywieranie wpływu dodatniego na rozwój muzyki krajowej, wytworzenie ogniska sztuki, przy którem skupiałyby się i wyrabiały siły artystyczne swojskie, oraz dążenie do podniesienia poziomu artystycznego i kształcenia smaku w społeczeństwie. Taką dewizę nakreśliło sobie warszawskie Towarzystwo muzyczne. Twórcą jego był Władysław Wiślicki. Przy usilnych zabiegach zjednał on dziewiętnastu założycieli pierwotnych, z którymi położył podwaliny instytucyi. Duszę jej nadał następnie Aleksander Zarzycki, chociaż krótko był sam gospodarzem. W ciągu zaś ostatnich lat kilkunastu niemało energii i sił swoich poświęcił instytucyi Zygmunt Noskowski. Nie mając miejsca na przeglądanie szczegółowe jej dziejów i zasług, zaznaczymy tylko najpożyteczniejsze i najwybitniejsze owoce jej pracy: otwarcie klas instrumentów dętych, tudzież klasy dykcyi i deklamacyi, wystawienie pomnika Chopina w Żelazowej Woli i utworzenie przy Towarzystwie stypendyum imienia Chopina i otwarcie sekcyi Moniuszki.

Z GALICYI

Tutejsze społeczeństwo zwróciło niedawno powszechną uwagę na nienormalne stosunki Bukowiny. Jest to kraj, posiadający mieszaną narodowość — ruską, polską i ormiańską, które zetknęły się tutaj razem, jak na każdem pograniczu etnograficznem. Nie wiem dlaczego Niemcy austryaccy, którzy się teraz bawią w patryotów pruskich, nawet w Wiedniu,—tak im się polityka niemczenia wszystkich narodowości podoba,—nadzwyczajnie umiłowali Bukowinę.

Pod wielu względami stosunki bukowińskie przypominają gospodarstwo niemieckie na Szląsku. Mówiono ustawicznie o tem, że to kraj niemiecki, bo posiadał niemieckie szkoły, niemieckich urzędników, niemieckie sądownictwo i niemieckich kupców. Naraz, gdy się do tej sprawy wmieszała statystyka, pokazało się, że własności ziemskiej niemieckiej prawie niema, a wszystko to, co możnaby było i co nazywano faktycznie cywilizacyą niemiecką, było gwałtem, popełnianym przez Niemców na ludności miejscowej, dzięki systemowi rządowemu.

Zupełnie to samo dzieje się teraz na Bukowinie, z tą chyba różnicą, że do niemczenia Szląska pomagali wytrwale Czesi, a na Bukowinie ich, Bogu dzięki, niema, kraj zaś oddalony od Niemców o setkę mil. A jednak panoszą się tam Szwabi i gospodarują tak samo, jak Węgrzy śród ludności słowiańskiej. Co jest ważniejsze i bardziej godne oburzenia, że Niemcy na Bukowinie są tak dalece żywiołem napływowym i świeżym, iż nie zdolali jeszcze zagarnąć znacznych obszarów ziemi, trzymają się tylko miast, a dzięki systematowi józefińskiemu, opanowali w zupełności urzędy i handel. Do pomocy żywiołowi niemieckiemu, jak wszędzie w Galicyi, stanęli Żydzi, i wspólnie z Niemcami wytworzyli sztuczną większość, która się rzuca, jak szara gęś na jarmarku i krzyczy w niebogłosy, że to kraj niemiecki.

Cóż powiadają na to nasi mężowie stanu w Wiedniu? Myślą nad równowagą w budżecie, nad wynalezieniem nowej prasy podatkowej i wytworzeniem silnego rządu niemieckiego w państwie, w którem jeżeli dziś skasują język urzędowy niemiecki, jutro nie będzie komu mówić po niemiecku.

Mniejsza z tem jednak. Wracam do Bukowiny, bo stosunki tam panujące są bardziej wymowne, niż najpiękniejsze oracye na tematy konstytucyjne. Panuje tam wszędzie język niemiecki zupełnie tak samo, jak w Bawaryi. Nie dość tego, że w Czerniowcach, stolicy Bukowiny, istnieje uniwersytet z językiem wykładowym dla przybyszów Niemców i podszywających się pod nich Żydów, ale gorliwość niemiecka idzie jeszcze dalej i wprowadza swoją mowę nawet w szkołach średnich i niższych, posuwając tak daleko aspiracye szowinistyczne, że dzieciom innych narodowości każe się uczyć religii po niemiecku.

Rzućmy tylko okiem na sprawozdanie gimnazyum i szkoły realnej w Czerniowcach, do których uczęszczają dzieci nie tylko kupców i urzędników miejskich, lecz także innych narodowości z prowincyi, którym chodzi o naukę, lecz nie o politykę niemiecką.

Według sprawozdania dyrekcyi gimnazyum w Czerniowcach, na ogólną liczbę 785 uczniów było w r. 1895 Żydów 389, Rusinów 123, Rumunów 92, Niemców 89 i Polaków 89. Mimowoli zapytać wypada: dla kogo istnieje gimnazyum niemieckie w Czerniowcach? Stosunek wyznaniowy niemniej dziwacznie się przedstawia: katolików rzymskich i ormiańskich 153, greckich 53, wschodniego obrządku 164, ewangelickiego 26, Izraelitów 389, Niemców wyznania katolickiego tylko 64. Polaków 89 — przeto dla 64 Niemców-katolików, z których połowa mówi po polsku, wprowadzają do szkół język niemiecki i wykład religii również w języku niemieckim.

Zupełnie taki sam stosunek zachodzi w szkole realnej za rok 1895: Żydów było 236, Niemców 89, Polaków 72, Rusinów 32, Rumunów 31; pod względem wyznaniowym: rzymskich i ormiańskich katolików 137, greko-katolików 15, wschodniego obrządku 60, ewangelików 23, Izraelitów 236. Dla 65 Niemców przeto wszyscy inni muszą się religii uczyć po niemiecku. Co się dzieje z konstytucyą, która zastrzega wszystkim równouprawnienie? Konstytucya jest! Na straży jej stoi cały parlament — a tymczasem po głuchych zakątkach gospodarnują jeszcze resztki szowinistów niemieckich, którym laury bismarkowskie spać nie dają.

Niejednokrotnie pozwalałem sobie wynurzać zdanie, że Austrya jest państwem panowania sprzeczności; nie przeczę, że osobom interesowanym albo nieobeznanym z położeniem rzeczy, lub wreszcie zapatrzonym w jeden punkt, twierdzenie takie wydać się musi ledwie nie zbrodnią. A jednak, gdyby nawet sąd mój był zbyt jednostronnym, to już dlatego chociażby, że jest innym, niż panujący, zasługuje na uwagę. Każda opozycya ma w sobie część prawdy, z którą liczyć się trzeba. Czyż to, co powiedziałem o stosunkach na Bukowinie, nie jest dowodem nienormalności?

W każdej dziedzinie pracy publicznej i ekonomicznej panuje taki sam chaos, w którym niepodobna niekiedy zoryentować się. W polityce, budżecie, szkolnictwie, przemyśle, panoszy się z jednej strony ucisk, z drugiej samowola bez granic i należytej kontroli rządu. Na chłopa, wyrabiającego łyżki z drzewa za 10 złr. rocznie, nałożą podatek dochodowy, a kartel naftowy, zasłaniający się celami dźwigania przemysłu krajowego, w istocie zaś będący rodzajem przymusowego podatku, składanego przez cały kraj dla kilku przemysłowców — uchodzi za czyn ledwie nie bohaterski. Takiego bohaterstwa dokonał właśnie p. Szczepanowski i S-ka, zmuszając całą Galicyę do płacenia wyższej ceny za naftę — na korzyść ugody kartelowej i jej przedstawicieli. W całym świecie technicy dążą do tego, ażeby za pomocą zmniejszenia kosztów produkcyi dać wytwór tańszy i skutkiem taniości zabezpieczyć mu odbyt na rynkach, a u nas panuje zwyczajna zmowa na podwyższenie ceny. Wszystko to idzie na rachunek dźwigania przemysłu krajowego.

Bardzo być może, że się mylę w ocenianiu doniosłości tego rodzaju faktów, ale niechże p. Szczepanowski wyjaśni, co to jest za forma, za rodzaj, za sposób podnoszenia przemysłu? Dziś każą płacić dwa centy więcej za litr, a jutro przyjdzie bez ceremonii jakiś „befel" o zapłacenie pewnego podatku na zubożałych kapitalistów lub fabrykantów. Wszystko ma swoje granice. Czyż nie jest to dążenie do tego błogosławionego stanu, kiedy pewne-

go pięknego poranku c.-k. Dyrekcya skarbu powie bez ceremonii: Daj mi waść wszystko, co masz, bo przecież państwo bez pieniędzy nie może istnieć!.. Czy to nie racya?

Powiadają, że przemysł wymaga ochrony — prawda. Gdybym był wszakże mieszkańcem Szwajcaryi, która nie posiada ani przemysłu nafcianego, ani ceł ochronnych, ani też programu dźwigania przemysłu krajowego, płaciłbym za litr trzecią część tego, co płacę w Austryi. Przed rokiem niespełna podniesiono taryfę osobową i przewozową na kolejach galicyjskich o 30%, pomimo że te koleje dawały większy zysk, niż lat poprzednich, a podwyższenie szło w stosunku odwrotnie proporcyonalnym do klas i kieszeni podróżnych, tj. ci, co najmniej posiadali, płacili najwięcej. Nie dość tego, że zmuszono podróżnych do nadwyżki; możnaby to sobie wytłomaczyć bardzo mądrą sentencyą: Kto nie ma pieniędzy na podróż, niech w domu siedzi. Ale stała się rzecz gorsza— podwyższono taryfę przewozową, która dotknęła cały handel, a przeważnie rolnictwo i płody surowe. Towarzystwo rolnicze lwowskie zajmowało się tą sprawą na ostatniem walnem zgromadzeniu bardzo gorąco, a Wydział krajowy przedstawił na sesyi sejmowej sprawozdanie o wpływie zmiany taryfy kolejowej na stosunki ekonomiczne. Komisya sejmowa oświadczyła, że „podrożenie przewozu, nową taryfą sprowadzone, jest nader dotkliwe dla naszego kraju, który już wogóle, skutkiem swego niekorzystnego położenia geograficzno-handlowego, znacznie więcej za przewóz płacić musi, niż inne kraje."

I cóż się stało? — nasuwa się mimowolne pytanie. Komisya sejmowa nie podała *żadnych* wniosków, zasłaniając się powodami „wielkiej wagi, które ze stanowiska skarbu państwa wywołały potrzebę zmiany taryfy poprzednio obowiązującej." Zatem: stanowisko skarbu państwa zmusiło Galicyę do nowych podatków pośrednich i powstrzymało rozwój przemysłu i handlu, pomimo niezaprzeczenie gorszych warunków ekonomicznych, ale to samo stanowisko pozostało bez zmiany dla Czech, całej Przedlitawii i Węgier, będących w lepszem od nas położeniu.

Z tego wszystkiego widać, że polityka ustępstw za daleko idzie i za kosztowną jest dla nas. Czy nie lepiej byłoby prowadzić mniejszą, własną, na wzór Czechów, lecz pożyteczniejszą?

Lwów ma dostać 10-milionową pożyczkę. Trzeba wiedzieć, że miasto nasze należy do najbogatszych w Austryi i posiada ogromną własność nieruchomą w folwarkach i lasach. Gospodarka miejska jest wszakże tak niedołężną, że ciągle trzeba ucinać poły, ażeby łatać łokcie. Stało się to i teraz. Pożyczka dziesięciomilionowa ma być lekarstwem powszechnem. Sypią się rozmaite projekty.

Nie wiem dlaczego wyobrażam sobie zbankrutowanego panka, który po długich latach oczekiwania wygrał wielki los na loteryi. Pozostały mu dawne długi, dawne obowiązki — ale któżby o tem teraz myślał? Kupuje więc sobie naprzód konie, powóz i zaciąga służbę, potem buduje nowy pałac, jedzie za granicę, trochę hula— i tak szczęśliwie upływa kilka lat. Nagle konie, powozy, służba, pałac, wszystko znikło, jak cudowny sen; z fornali i kamerdynerów powstali nowi hrabiowie, a zbankrutowany panek czeka znowu na los lub spadek.

Czy nie będzie tego z pożyczką lwowską? Nie jest to mojem życzeniem, gdyż o udział w zyskach nie ubiegam się. Ojcowie miasta pragną sobie naprzód sprawić tramwaj elektryczny za milion, za kilka milionów postawić teatr — reszta jeszcze nie znalazła przeznaczenia.

Niech już tam z kanalizacyą i oświetleniem dzieje się, co Bóg da; przecież żyliśmy jakoś, chociaż koło apteki Mikolascha przechodnie odwracają się od kratek żelaznych tuż przy samym chodniku, a w oficynach domu ks. Sapiehy mieszkają ludzie śród rozpaczliwych, że tak powiem grzecznie — zapachów. To najlepszy dowód, że bez kanalizacyi żyć można. Ale Lwów potrzebuje wody na gwałt. Są okolice miasta, gdzie tyfus co rok epidemicznie wraca. Podobno komisya, wybrana z łona Rady miejskiej, rozprawia o tem. Z kolei przesunęły się trzy projekty. Najbliżej byłoby sprowadzić wodę z Janowa; pokazało się jednak, że źródła karaczynowskie dają wodę bagnistą, zanieczyszczoną częściami organicznemi. Sprowadzenie z Dniestru kanałem betonowym, 30 kilometrów długim, miałoby tę niedogodność, że wymagałoby nietylko filtrów, ale i zbiorników na wypadek zmniejszenia wody w rzece podczas posuchy. Teraz zatrzymano się na Skolem, gdzie źródła są górskie i czyste, ale wodę trzeba sprowadzać z oddalenia 100 kilometrów rurami żelaznemi. Zdaje się wszakże, że pomimo przeszkód projekt zaopatrzenia Lwowa w wodę ze źródeł skolskich utrzyma się.

Cho.

Z NIEMIEC.

Berlin, w marcu.

Na marne poszły tysiące książek i artykułów, napisanych w celu uczenia komisyi, opracowującej kodeks cywilny, i poinformowania jej o żądaniach tudzież interesach różnych grup społecznych. Jakkolwiek z góry można się było spodziewać, iż kodeks nie zadowoli wszystkich, żadna Kasandra prasowa nie odważyła się wróżyć mu tak niefortunnego przyjęcia, jakiego doznał w rzeczywistości i które nie pozwala ani na chwilę wątpić, iż długo i niecierpliwie oczekiwany kodeks cywilny dla państwa niemieckiego nie zadowolił nikogo, z wyjątkiem może jego własnych twórców. Przypuszczano, iż zawrze w sobie rezultat działalności społecznej młodego państwa niemieckiego i jako wspaniały pomnik będzie przekazany pokoleniom XX stulecia. Mniemano, iż będzie majstersztykiem prawników niemieckich, którzy w dobie obecnej nadają ton całemu światu. Kodeks przyprawił o bolesny zawód pod wszelkimi względami. Zaledwie poznano jego treść, odezwały się zewsząd głosy znawców prawa, polityków i laików, zlewające się w jedno szydercze sykanie. Rozczarowanie jest tem boleśniejsze, iż kodeks cywilny był jednem z dwu marzeń, które od bardzo dawna gorączkowały głowy patryotów niemieckich. Jedno z tych marzeń—zjednoczenie państw niemieckich— spełniono świetnie przed 25 laty. Kodeks cywilny pozostał dotychczas pobożnem życzeniem: jakkolwiek wypłynął z mglistej sfery zamiarów, nie uzyskał jeszcze uświęcenia ciał prawodawczych, a co gorsza jest uważany za dzieło poronione. Obecne prawo niemieckie opiera się na czterech kodeksach, lub, jeżeli kto woli, prawodawstwach, faktycznie zaś składa się z mieszaniny ustaw i rozporządzeń miejscowych, przypominających pstrokaciznę karty Niemiec za dawnych dobrych czasów. To też dawniej już w chwilach, gdy państewka i księstewka niemieckie porzucały waśnie dla dobra całego narodu niemieckiego, ludzie, miłujący ojczyznę, podnosili myśl opracowania kodeksu dla całych Niemiec. Nic nie urąga tak jedności narodu, nic nie tamuje tak stosunków handlowych, jak rozmaitość prawa.

Korzystając z zapału, który ogarnął Niemców w początku tego stulecia po kampanii przeciwko Napoleonowi, z rozbudzenia wówczas patryotyzmu i idei jedności, Thibaut, znakomity prawnik niemiecki, zaproponował wykonanie kodyfikacyi pojęć prawnych narodu niemieckiego. Nie zrozumiał wszakże, iż jedność niemiecka była wówczas tylko złudzeniem, gdyż zaledwie chwilowem zjednoczeniem drobnych władców, którzy po rozbiciu Napoleona wspólnemi siłami starali się zatrzeć dobroczynne ślady najazdu francuskiego i wytępić pojęcia przeniesione z tamtej strony Renu. Savigny, ojciec szkoły historycznej, nadał reakcyjnym tym dążnościom formę naukową, odwołując się do sankcyi przeszłości i nietykalnych praw tradycyi. W specyalnej pracy dowodził, iż epoka współczesna nie jest powołaną do stworzenia nowego prawodawstwa. Ten sam Savigny, który miał tyle poszanowania dla przeszłości i nakazywał powściągliwość w reformach, przekonał się w czwartym dziesiątku stulecia, piastując urząd ministra pruskiego, iż teraźniejszość jest czasem silniejszą od przeszłości. Gdy po wojnie austryacko-pruskiej położono kamień węgielny pod budowę państwowego zjednoczenia Niemców, partya narodowo-liberalna zażądała uporządkowania i ujednostajnienia prawodawstwa. Po narodzeniu się państwa niemieckiego pierwsze żądania Reichstagu dotyczyły również kodyfikacyi prawa. W r. 1874 wyznaczono komisyę, składającą się z najznakomitszych prawników, dla wypracowania kodeksu. Od owego czasu sprawę zawieszono na kołku; co rok tylko podczas obrad nad budżetem Reichstag objaśniał ciekawych, iż robota posuwa się szybkim krokiem naprzód. To posuwanie się trwało 13 lat.

W r. 1888 ministeryum ogłosiło pierwszy projekt kodeksu, prosząc publiczność o nadsyłanie uwag krytycznych. Krytyka jednomyślnie skazywała pierwszy projekt na zagładę. Nie należy zapominać, iż podczas tych 13 lat społeczeństwo niemieckie przeszło przez cały szereg ciężkich doświadczeń i pozbyło się niejednej iluzyi, na którą przysięgały poprzednie pokolenia. Straciła kredyt teorya Savignego, która powstała podczas zastoju życia publicznego i upatrywała w prawodawstwie odbicie „duszy narodu"; jak przekonały zaciekłe walki parlamentarne po r. 1873, dusza ta była rozdartą; każda grupa społeczna posiadała swoje własne poglądy i ideały prawne. Nie dawano już wiary narodowo-liberalnej ewangelii Laskera, który w swoim czasie rozczulał Reichstag frazesami w rodzaju „dobra ogółu." Powtarzano natomiast za Iheringiem, iż prawo jest rezultatem walki, orężem używanym przez zwycięzcę, aby zmusić zwyciężonego do tego a nie innego postępowania. Prof. Antoni Menger, który nielitościwie zanalizował kodeks, ze stanowiska społecznego podkreślił, iż projekt w niczem nie ujawnia ducha czasu, w którym się narodził; twórcy jego widocznie nie odczuwali tętna naszej epoki. Są pewno zadania społeczne, których kodeks nie powinien był przeoczyć. Pierwszy projekt, jakeśmy już powiedzieli, przepadł z kretesem. Lecz i drugi, który przed kilku tygodniami przedstawiono Reichstagowi, nie zadowolił nikogo. Nawet prawica użala się, iż nad kodeksem zawisł duch kapitału ruchomego. Niema tam ani śladu dążeń agrarnych. Prof. Dernburg i Gierke, dwaj pierwszorzędni prawnicy niemieccy, poddali projekt nielitościwej krytyce. Dernburg wykazuje, iż kodeks jest dziełem biurokratyzmu i doktrynerstwa i że jego wprowadzenie byłoby prawdziwą klęską dla Niemiec. Sami twórcy przyznają szczerze, iż nie wytrzymuje porównania z kodeksem Napoleona. Ten oderwał się nieco od gruntu swej epoki, ale może właśnie dlatego przetrwał tak długo, nie tracąc znaczenia jeszcze dla nas. Czuć w nim potęgę myśli i wiarę w siebie

burżuazyi wojującej. Kodeks niemiecki jest reakcyjnym, a w dodatku połowicznym i chwiejnym. Nie uznaje np. konieczności rozwodu w wypadku choroby nieuleczalnej, nieprzepartego wstrętu do swego towarzysza życia lub w razie zobopólnej zgody. Takie ograniczenie rozwodu sprzeciwiałoby się zasadom większości Reichstagu nawet lat temu 20. Do najbardziej pokrzywdzonych przez kodeks należy zaliczyć warstwy pracujące i kobiety. Członkowie komisyi, dla których rozwój i wymagania czasu są księgą o siedmiu pieczęciach, nie spostrzegli, iż niewiasta niemiecka zajmuje dziś zupełnie inne stanowisko w rodzinie i społeczeństwie, niż wtedy, gdy przystępowano do kodyfikacyi. W tym wypadku należało koniecznie zrobić ustępstwo warunkom życia spółczesnego. Nie wiadomo, o jakich kołach i warstwach myślą twórcy kodeksu niemieckiego, uważając kobietę za istotę wątłą, wymagającą opieki męża. Panie Raschke i Proeltz ogłosiły przeróbkę paragrafów, dotyczących położenia kobiety w duchu bardziej zgodnym z ideałami humanitarnymi naszej epoki. Zupełną słuszność można przyznać autorkom, utrzymującym, iż projekt jest upokorzeniem dla Niemki spółczesnej, walczącej o swą niezależność. Podczas gdy mąż ma prawo rozporządzać majątkiem małżonki, ona dla zarządzenia swym własnym musi otrzymać zezwolenie męża. Bezprawie to gnębiło kobietę dotychczas, lecz należy je znieść, jeżeli kodeks nie ma być anachronizmem i zbiorem praw, które nikomu nie przynoszą korzyści i świadczą tylko o ślepej uległości tradycyom. Kodeks zamiast „władzy ojcowskiej,“ jak to było przyjętem dotychczas, wprowadza wyraz „władza rodzicielska,“ jakkolwiek nie trudno spostrzedz, iż wyraz ten oznacza w projekcie władzę ojca, lub, nie wyrażając się nawet zbyt przesadnie — jego samowolę. Niezrozumiałem jest również, dlaczego matka traci swą władzę nad dzieckiem, jeżeli wstępuje powtórnie w związek małżeński, podczas gdy dla ojca ograniczenie to nie istnieje. Najbardziej oburzają się kobiety na podwójną buchhalteryę w podziale praw i obowiązków pomiędzy rodzicami dziecka nielegalnego; przeczy to zupełnie zdrowemu rozsądkowi, jeżeli się nie uznaje węzłów pokrewieństwa pomiędzy ojcem a jego nielegalnem dzieckiem. Przypomina mi się pogląd Mefistofelesa na prawo:

> To niby jakieś dziedziczne cierpienie,
> Co z pokolenia idzie w pokolenie.

H. F.

BADANIA NAUKOWE.

IDEA A CZŁOWIEK.

III.

Idee, rozpowszechniające się w społeczeństwie, bywają różne. Jedne są wypowiedzeniem potrzeb pewnej grupy społecznej i sformułowaniem jej dążeń prawno-politycznych. Takiemi były hasła stanu trzeciego we Francyi w drugiej połowie w. XVIII. Natomiast inne są pozbawione bezpośrednio zabarwienia społecznego—względnie, chociaż zawsze noszą na sobie piętno historyczności: duch ludzki, wysnuwając, w pasmie wypadków, nowe sympatye i pożądania, rojenia i kaprysy, działa skuty więzami czasu i przestrzeni.

Rozsądny i ograniczony, powściągliwy i namiętny, uczciwy i szubrawiec, słowem każdy członek pewnej warstwy, bez względu na swoje właściwości duchowe, daje posłuch idei, która sformułowała jego interesy i widnokręgi. Hasło przedostaje się coraz dalej, dostarczając instynktowym i odruchowym dążeniom języka członkowanego, zamienia się na trwałą cząstkę ducha danej grupy, na wyznanie jej wiary prawno-politycznej. Inaczej się dzieje z ideami drugiej kategoryi. O ich rozpowszechnianiu rozstrzyga w znacznej mierze duchowa natura członków więzi społecznej. Nie znaczy to, ażeby przestały wywierać wpływ czynniki społeczne; pesymizm jest np. płodem widnokręgów i doświadczeń pewnego odłamu mieszczaństwa i znajduje posłuch tylko u pewnej, względnie lepszej cząstki ideologów „arystokracyi ducha.“ Prądy tego rodzaju odznaczają się nieraz wielką krótkotrwałością, są one jako rzeka, która na dni parę rozlewa się szeroko, poczem cofa wody do dawnego łożyska. Proste naśladownictwo odgrywa znaczną rolę w sprawie szerzenia się takich ruchów, które w pewnych warunkach przybierają postać zarazy moralnej. Mieszczańscy socyologowie znaku psychologicznego, ze swojem płytkiem ślizganiem się po powierzchni stosunków i objawów życia gromadnego, pogmatwali to odróżnienie, a przyzwyczajeni do wzorów życia wielkomiejskiego, do naśladownictwa na wielką skalę, które przedstawia zasadniczy rys duchowości tegoczesnej, rozpowszechnianie się wszelkiego prądu w społeczeństwie uznali za przebieg, odbywający się pod wpływem pobudki naśladowniczej. Zapatrzeni w zasadach wychowawczych epoki obecnej, w której cała sztuka pedagogiczna wysila się na to, ażeby zrobić z dziecka wytresowane stworzenie, poddawanie hypnotyczne wzięli za jedno ze wszelkiem przekonywaniem. Wielcy inicyatorowie myśli i czynu są przyrównani do hypnotyzerów. Wychodząc z takich założeń, sformułowali oni nowe pojęcie: „idealnego“ społeczeństwa, tj. takiego, w którem samodzielność indywidualna byłaby sprowadzoną do minimum, szerzenie się zaś idei odbywałoby się bez żadnego „tarcia:“ jeden manekin podniesie rękę do góry, drugi i dziesiąty powtarza to po nim bez żadnego powodu. Tak bywa—w mrowisku! Przedstawiciele pospolitego manczesteryzmu spotwarzyli te biedne stworzonka, przyrównywając je do kapitalistów, dzisiejsze pokolenie socyologów usiłuje wybuch uczucia gromadnego przyrównać do prostego naśladownictwa...

Mówiąc o rozpowszechnianiu się idei, będziemy mieli na oku przedewszystkiem prądy, niezwiązane bezpośrednio z potrzebami i interesami społeczeństwa.

Badania nad hypnotyzmem dowiodły, że nie wszyscy wpadają w stan bezwładności umysłowej z jednaką łatwością. Ze studyów d-ra Liebaulta okazało się, że z tysiąca osób, które on badał, 2,6% odznacza się bezwzględną opornością; że 13% odczuwa tylko senność, lub wpada najwyżej w lekki sen; że dalsze 45% można uśpić mocno, 38,7% zaś bardzo mocno, aż do somnambulizmu. Nie przypisujemy większego znaczenia przytoczonym cyfrom, gdyż inni badacze otrzymali odmienne rezultaty; podkreślamy tylko ten wynik, że naród składa się z ludzi, nie w jednakowym stopniu poddających się hypnozie. Ta podatność może nam służyć za miarę wszelkiej uległości. Studya nad hypnotyzmem wykazały, że istnieją osoby, których nie trzeba pogrążać w uśpieniu hypnotycznem, ażeby wmówić im ból w ręce lub nawet pewne iluzye, zależnie poniekąd od tego, z jaką łatwością można je uśpić. Nastręcza się więc pytanie: czy narody pojedyncze posiadają skład ten sam lub odmienny?. Te, które odznaczają się większym procentem osób, dających się uśpić—*hypnotisables*, zbliżają się bardziej do owego „idealnego“ stanu, w którym pewien prąd będzie się rozpowszechniał bez tarcia, ustępując podobnie łatwo miejsca innemu. Zaraza duchowa będzie tam następowała po zarazie. W dzisiejszym stanie nauki możemy wskazać to zagadnienie, bez środków rozwiązania go. Natomiast bliżej zatrzymamy się nad innem pytaniem: podatnością ludzi na pewną pobudkę i zmiennością tej cechy pod wpływem warunków bytu.

Podatność owa może przedewszystkiem wypływać z pewnej nadwrażliwości. Są autorowie, usilujący dowieść, że zmiany meteorologiczne, jakie nastają chociażby z rozpoczęciem się wiosny, oddziaływają na organizm ludzki i robią go skłonniejszym do uniesień, mniejsza czy z cechą namiętności indywidualnej lub gromadnej. Podatność może, w dalszym ciągu, pochodzić jeszcze z innego źródła: z pewnej bezwładności duchowej. Uśpienie hypnotyczne daje liczne stany, słabsze i mocniejsze, lecz wszystkie powstają skutkiem otrzymywania przez zmysły bardzo jednostajnego wrażenia przez pewien czas. Czy podobny stan ducha nie wytwarza się także w życiu całych gromad pod wpływem czynników otoczenia, martwego i społecznego? Możemy w każdej chwili wyobrazić sobie taką szarzyznę życia, taką jednostajność warunków bytu i ubóstwo pobudek, że umysł całych rzesz, doprowadzony do pewnej bezwładności, przestaje krytycznie przyjmować ideje, roztrząsać je lub rozważać.

Rzeczywistość popiera to nasze założenie. Istnieją na globie ziemskim takie okolice, w których życie gromadne nie ujawniło jeszcze dostatecznej rozmaitości, otoczenie zaś martwe odznacza się wprost rozpaczliwie posępną i nużącą jednostajnością. Są one właśnie najczęściej widownią opętań i zarazy duchowej. Okrąg jakucki dostarcza wymownego świadectwa skutków takiej monotonności. Całun śnieżny pokrywa ziemię w ciągu wielu miesięcy, życie biegnie leniwie i ospale. Wiele osób zapada w tak zwane „mirjaczestwo,“ polegające na stanie zupełnej bezwładności duchowej. Dotknięty tą niemocą umysłową powtarza wszelkie ruchy innych. Działalność powściągów duchowych ustała, człowiek zamienił się na maszynę odruchową, kopiującą postępki i zachowanie się pierwszego lepszego pierwowzoru. Jest jakby w stanie uśpienia hypnotycznego, niezdolny opierać się napływającym podnietom, lecz naśladujący je drobiazgowo. Albo zwróćmy się do Laponii. Tam, podczas mrozów, szerzy się niekiedy zaraza duchowa, która przybiera charakter masowych obłędów halucynacyjnych. Wynika ona z tych samych przyczyn, które dają początek "mirjaczestwu" w Syberyi. Na równinach Kanady podczas zimy, tj. w podobnych warunkach, powstają zbiorowo popłochy, bez żadnej uzasadnionej przyczyny, jako wynik monotonności otoczenia, oraz bezwładności, która w takich razach zakrada się do jaźni. Gromada Indyan odpoczywa po pracy dziennej przy ognisku obozowem. Jeden z nich powstaje, zdjęty nieokreślonym przestrachem, i zaczyna uciekać niewiadomo dokąd i przed kim. Za jego przykładem idzie drugi i trzeci, aż wreszcie popłoch ogarnia całe plemię, które ucieka przez step bez celu, tam dokąd zwróci swoje kroki inicyator, dopóki zmęczenie nie zmusi gromady do zaprzestania bezmyślnej ucieczki.

Związek, istniejący pomiędzy jednostajnością otoczenia a bezwładnością umysłową, oraz wypływającą z niej podatnością na wszelką suggestyę, chociażby najniedorzeczniejszą, rzuca się w powyższych przykładach wyraźnie w oczy. Daleko trudniej dowieść podobnego oddziaływania ze strony monotonności czysto społecznej. Są jednak fakty, świadczące o tem, że szare, jednostajne życie, upływające

wśród tych samych zajęć z dnia na dzień, z roku na rok, może wywrzeć skutki, pokrewne powyżej rozpatrzonym. Szkoły, szczególnie zaś pensye, przeznaczone dla dziewcząt, koszary, klasztory, słowem instytucye, odznaczające się jednostajnością życia, są zwłaszcza widownią zaraz moralnych: samobójczej, erotycznej, histeryi, które tam srożą się na wzór istotnej epidemii. Np. czart opętał mniszki w klasztorze Cambraiskim w roku 1891 i w ciągu lat czterech nie wypuszczał ich ze swoich szponów. „Biegały one po polach jako suki, rzucały się jako ptactwo w powietrzu, jak koty wdrapywały się na drzewach i wieszając się, wydawały głosy zwierzęce, gromadziły się jako stado owiec i beczały.“

Obłędy zbiorowe, odbywające się w okolicach, upośledzonych przez przyrodę, oraz w zakładach, wyróżniających się szarzyzną życia, przemawiają za naszem przypuszczeniem, że podatność na pobudkę zależy poniekąd od wartkości potoku wrażeń, codziennie napływających do mózgu. Są pewne miejscowości, które częściej, niż inne, bywają widownią zaraz moralnych — równiny Północy i doliny górskie. Są pewne instytucye, w których epidemie duchowe rozpowszechniają się łatwiej. Są wreszcie wieki, obfitujące w poruszenia masowe rozpatrywanego pokroju. Za dni naszych, na Madagaskarze, zdarzyła się zaraza, odtwarzająca wszystkie rysy zasadnicze tak licznych opętań średniowiecznych. Było to w roku 1863. Król Radama podejmował bardzo uprzejmie białych gości. Kraj oburzał się na to. Pewnej kobiecie ukazały się we śnie duchy, nakazujące wypędzić przybyszów. Wiadomość o tem rozszerza się i gorączkuje umysły. Zjawiają się prorocy, łączą się w gromadę, która wzrasta aż do kilku tysięcy uczestników. Miotając się w konwulsyach i spazmach, tłum ten ciągnie krajem do stolicy, ażeby wymódz na monarsze wydalenie Europejczyków. Król wysyła do nich syna jako rozjemcę, lecz poseł ulega obłędowi. Takie obrazy powtarzają się w setnych odmianach w drugiej połowie wieków średnich. Okres ten dziejów, ze swojemi procesyami biczowników, obłędami masowego wiedźmostwa, nawet wyprawami krzyżowemi, oczekuje na swego historyka—psychiatrę. Czy nie można byłoby podobnych objawów wytłomaczyć bezwładnością umysłową, nastającą pod wpływem jednostajności życia? Stawiamy pytanie, nie kusząc się o jego rozwiązanie z braku danych.

Przyjrzeliśmy się pochodowi idei w społeczeństwie — ze strony formalnej. Korzystając z faktów, nagromadzonych przez doświadczenia nad hypnotyzmem, wykazaliśmy potęgę idei nad człowiekiem, skoro pewna pobudka przedostanie się do czyjegoś mózgu i rozpanoszy się w nim. Przyjrzeliśmy się warunkom psychicznym rozpowszechniania się pewnego prądu śród mas w razie, gdy to się odbywa pod wpływem prostego naśladownictwa i przybiera postać zarazy moralnej. Wzmiankowaliśmy, że idea, ogarniając coraz szersze koła, organizuje wojska społeczne i prowadzi je do boju. Obecnie należałoby rozpatrzyć psychikę tych armij, oraz naturę drużyn, które powstawszy raz jeden, nie rozpadają się, lecz utrwalone przez tradycyę, istnieją w ciągu całych lat i wieków. Tej analizy dokonaliśmy w łamach *Prawdy* przeszłorocznej (patrz artykuły: „Jaźń zbiorowa“ i „Tradycya zorganizowana“).

L. Krzywicki.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WŁOSKA.

Antonio Fogazzaro: *Piccolo mondo antico.* Medyolan. Galli, 1896.

Śród powieściopisarzów spółczesnych Fogazzaro ma fizyognomię zupełnie odrębną: lubi historye skomplikowane, romantyczne, pełne tajemnic, zachowujące często stosunki ze światem zaziemskowym; jego bohaterowie to ludzie niezmiernie szlachetni, albo też zbójo niesłychani, potwory moralne; kpi sobie z reguł zdrowego rozsądku i jest wciąż w stanie jakby religijno-mistycznej ekstazy, albo też pod wpływem namiętności. Swem zamiłowaniem do przygód przypomina potrosze Dumasa-ojca, tylko daleko więcej jest dbały o prawdę psychologiczną; zadania, które sobie stawia, mają zwykle daleko wyższe, filozoficzne znaczenie i nareszcie zwraca bez porównania więcej uwagi na stronę literacką. Nie można powiedzieć, aby te zabiegi artystyczne uwieńczone były zawsze pożądanym skutkiem. Styl Fogazzara jest mglisty i ociężały, wielka erudycya literacka sprawia mu dużo szkody, gdyż jego bohaterowie to często antologie, pełne cytat, a wyraz uczuć zbliża się skomplikowaniem do sztuczności; ale wszystko to uwalnia go przynajmniej od wulgarnego gadulstwu romanisty francuskiego.

Najlepsze pojęcie o zabiegach artystycznych Fogazzara można powziąć ze zbiorku nowelek p. t. „Fedele.“ Opowiadania są, jak zwykle, nieprawdopodobne, ale po każdem następuje mały poemacik, który wyraża jego sens wewnętrzny, myśl filozoficzną autora. Wiersze te ułożone są według znanych melodyj Chopina, Schumana i innych mistrzów i mogą być czytane przy akompaniamencie fortepianu. Oto przykład: Maestro Chicco, stary muzykant, godzi za pomocą kłamstw i udawanych gniewów, dwie istoty, które się kochają wzajemnie, ale przez próżność i kokieteryę nie mogą i nie chcą wyznać sobie tej miłości. Autor dodaje kilka rymów na nutę jednego z menuetów Boccheriniego. Poemacik cały złożony z uśmiechów, ruchów wdzięcznych i póz tanecznych. Ironiczne ukłony menueta przerywają oświadczenia miłosne. Wieczór, ogród oświetlony latarniami chińskiemi, w salonie orkiestra gra menueta, maski przechodzą tam i napowrót, z salonu do ogrodu. *Dama* (tańcząc): Chociaż się uśmiecham, me serce wzdycha. *Kawaler* (tańcząc): I ja także się uśmiecham, lecz mój uśmiech jest pełen boleści (ukłony). Pani, kłaniam się uniżenie. *Dama:* Kłaniam się panu! *Kawaler*: Muzyka jest niewymownie piękna, festyn przepyszny. (Zbliżają się, tańcząc). Jutro będę daleko; w marzeniu przyciskam cię do serca, całuję twe oczy, oddaję ci duszę. (Oddalają się od siebie). Lecz trzeba tańczyć i uśmiechać się, mając gardło pełne łkań. *Dama* (ironicznie): Tak, tak, tańczyć i uśmiechać się! zawsze! Jesteśmy tak szczęśliwi! (Ukłony). Pani, kłaniam się uniżenie! — Kłaniam się panu!“ Trzeba dopiero ironii szalonych masek, przebiegających salon, aby zmusić parę do wyznań.

We wszystkich swych utworach autor stara się utrzymać harmonię między myślą i poezyą słowa. Niestety, sentymentalizm niemiecki uczuć wygórowanie romantycznych źle się łączy z namiętnością Włocha, która wybucha w nadmiarze wielkich giestów i dźwięcznych słów. Ten brak proporcyi raził w poprzednich dziełach autora — pisaliśmy o nich na tem miejscu.

Ostatnia powieść Fogazzara, „Drobny światek starożytny,“ tej wady już nie posiada. Wszystko tu jest pełne wdzięku i marzenia. Jak i w pozostałych romansach, autor przedstawia nam tu życie arystokracyi włoskiej w prowincyach północnych, nie mającej nic wspólnego z wielkim światem, z kosmopolityzmem, lecz rdzennie krajowej. Dzieło to jest obrazem epoki przebrzmiałej, pomiędzy r. 1850 1860, i walki o niezależność.

Obok obrazu obyczajów, po których nic nie pozostało, znajdujemy romans psychologiczny, mistrzowski. Margr. Franco Maironi, dyletant oddany muzyce, poezyi, marzeniu, spędza czas w swej posiadłości na brzegach Lugano, dość bezczynnie, ale w oczekiwaniu lepszego jutra dla swej ojczyzny, która przygotowywała się wówczas do zrzucenia jarzma austryackiego. Zakochał się w dziewczynie ubogiej, pochodzącej z innej warstwy społecznej, niż jego własna, i poślubił ją wbrew oporowi urażonych krewnych. Ten artysta jest w gruncie rzeczy człowiekiem słabym, w którym popędy estetyczne przeważają nad energią uczuć i woli. Jest wierzący, ale jego religia ma charakter ekstazy, która się wyraża w praktykach zewnętrznych, tylez co w mocy wzruszeń duchowych.

Dziewczyna, którą poślubił, Ludwika Rigey, jest naturą zupełnie innego charakteru: odznacza się przedewszystkiem energią praktyczną, jej uczucia szukają wyrazu nie w pięknych gestach i słowach, lecz w czynach, jej wiara wciela się w miłość ludzi, w poświęcenie.

Przy takiej różnicy usposobień, nic dziwnego, iż młodzi małżonkowie, po za przywiązaniem zmysłowem, rozdzieleni są głęboką otchłanią. Ona nie może mu oddać najlepszej części swej duszy, on nie umie nawet do niej dotrzeć: nie czuje zresztą potrzeby obcowania głębszego, duchowego. Ludwika cierpi niewymownie i znajduje ulgę tylko w ofiarach, w pomocy niesionej biednym, w przywiązaniu do córeczki, która im się urodziła. Ich miłość zamienia się powoli w zwykłe „szczęście małżeńskie,“ tem łatwiejsze do zniesienia, iż otoczeni są piękną naturą, mnóstwem kwiatów, drzew, gór porosłych lasami. Modre wody jeziora, które przed niemi się roztacza, zlekka i chwilami tylko marszczone przez powiewy wiatru, to obraz ich życia.

Naraz wybuchła nawalnica. Rząd austryacki, podejrzewający polityczną prawomyślność Maironego, wraz z jego rodziną, oburzoną na mezalians, przyczyniają się wspólnemi siłami do ruiny majątkowej naszej pary i niszczą jej ognisko domowe.

Franco zmuszony jest opuścić miejsca rodzinne i uciec do Turynu; tu dopiero mógł zrozumieć wszystkie błędy swego życia i całą wyższość swej żony. Głosił cnoty, których nigdy nie uprawiał, modlił się do Boga, ale nigdy nie wykonywał jego woli.

Zrozumiawszy swe grzechy, chce się odrodzić. W Turynie pędzi zwykłe życie wygnańców. Jest to życie pełne goryczy, poniżeń i nędzy. Nietylko „chleb i schody obcych“ są gorzkie, ale, co główna, w kole własnych przyjaciół, rozpoczynają się bardzo prędko waśnie, zawiści, któreby mogły zatruć serce nawet anioła. Na wygnaniu dopiero zrozumiał wartość wszystkiego, co utracił. Mieszka w norze pod dachem, „zarabia na życie“ artykułami dziennikarskimi — jest to jedyny zarobek wygnańców, który pomimo największych wysiłków i zabiegów nie daje im tyle, co zarabia najzwyklejszy zamiatacz ulic. Jest to systematyczne głodzenie się, zamaskowana żebranina, w formie pożyczek, wy-

krzywiono buty, wytarty, nieokreślonego koloru surdut; całą tę nędzę trzeba ukrywać, przemykając się, jak złodziej, koło murów. W takiem piekle ludzie dochodzą do mizantropii. Maironiego uchroniła od tego miłość oddalonej rodziny. Niestety, córeczka mu umarła. Ugiął się pod nowym ciosem, ale się nie złamał. Natomiast żona jego dochodzi do zupełnej rozpaczy: nawet uczucia religijne w niej wysiąkły. Stała się zimna i apatyczna, zapomina o mężu, o rodzinie i zagłębia się we wspomnieniach o umarłej. Z tej śmierci duchowej wyrywa się przyjazd Franca, który, udając się na wojnę 1859 r., wrócił pokryjomu, aby ją pożegnać.

Franco w zupełności się odrodził, jego słowa i frazesy mają się zamienić na czyny. Jest to w końcu człowiek z czułem sercem i poczuciem obowiązku. Ludwika to spostrzega, budzi się ze snu, otrząsa z rozpaczy i dopiero teraz, po kilku latach wspólnego pożycia, kochają się miłością głęboką, jako istoty pokrewne, odrodzone.

Powieść ta czyni wrażenie spoczynku, zdrowia i nie ma nic wpólnego z tem napięciem nerwowem, z tą pogonią za wrażeniami sztucznemi, do jakich nas przyzwyczaił romans współczesny — np. w osobie d'Annunzia.

Wrażenie serdeczności, jaka z dzieła Fogazzara się wyłania, wiara w ludzi, w cnotę, ta dbałość o prawdy „wyższe,“ religijne i moralne, wszystko to nie są wytwory wielkomiejskie. Autor urodził się i mieszka dotychczas w małem miasteczku Włoch północnych, Vicenzy, w atmosferze, którą odszukać można we wszystkich jego dziełach. Ugo Ojetti przedstawia to miejsce pobytu w sposób następujący: Vicenza jest jedno z miast włoskich najbardziej oryginalnych i najbardziej wzruszających dzięki kontrastom architektonicznym. Ulice wąskie, omszałe, pełne cienia i ciszy, o eleganckich pałacach w stylu gotycko-weneckim, prawie zupełnie opuszczonych, albo też zamieszkanych przez wielką magnateryę, — w pewnych punktach możnaby powiedzieć—mała Wenecya, z której morze się wycofało. Ulice te wychodzą niespodzianie na place szerokie i słoneczne, gdzie białe budowle, obszerne i wspaniałe, wystawione przez klasycznego Andrea Palladio, w pełni XVI wieku, przypominają majestat starożytnego Rzymu i jego kolumnad olśniewających oczy — a zarazem przeniknięte smutkiem głębokim i delikatnym, który wyłania się z szyb oprawnych w ołów, z okiennic o łukach i z kwiatów w duchu gotyckim. Pod kolumnadą, wzdłuż uliczek, o świeżym poranku, przechodzą grupy chłopek, obciążone zielenią i owocami, w dziwnych kapeluszach słomianych, zdobnych w kwiaty i pióra różnokolorowe i rozmawiające swą gwarą chropawą i gadatliwą. Od czasu do czasu most wązki i wysoki przeskakuje drobny i ponury Bacchiglione, którego wody lodowate przypominają bliskość Alp.

Fogazzaro mieszka tam zawsze, tylko od czasu do czasu przebiega Włochy, jak krzyżowiec, aby prawić na zebraniach ludowych o swych teoryach mistycznych, starając się pogodzić wiarę z wiedzą, z przebiegłością doktora subtelnego. A oto w jaki sposób ten *doctor subtilis* wykłada swą wiarę:

„Powiadam otwarcie, jestem katolikiem twardym, surowym, przekonanym. Nie pozwalam sobie ani na zwątpienia, ani wahania. Nie fabrykuję religii wygodnej i dla własnego użytku; przyjmuję z pokorą chrześciaństwo katolickie i jestem niem zachwycony. Trzeba spoglądać na katolicyzm oczyma, które widzą daleko. We Włoszech był on zawsze drobny i drobiazgowy. Spójrzcie w Ameryce na instytucyę „Rycerzy pracy:“ była z początku odepchnięta przez arcybiskupa Quebecu, następnie przygarnięta przez prałatów zręcznych i rozumnych, słowami, które u nas wydawałyby się niemożliwemi w ustach księdza. Doszli do wygłoszenia maksymy, iż kościół powinien sprzyjać ruchowi większości narodowej.. Albo też w Chicago kongres religii, na którym jeden z książąt Kościoła zaśpiewał modlitwę chrześciańską pośród kapłanów najrozmaitszych, braminów, muzułmanów, adeptów Konfucyusza, i wszyscy ogólnym odpowiedzieli mu chórem. Czy to widowisko nie jest imponujące? A olbrzymie rozpowszechnienie katolicyzmu w Anglii, wbrew starożytnej i solennej *High Church*? Przytaczam zresztą tylko fakty najbliższe, najwidoczniejsze i które najłatwiej przypomnieć sobie można. My, my jesteśmy drobni, o słabym wzroku i wązkich umysłach. Ale katolicyzm jest niezmierzony, święty, wiekuisty!“

Fogazzaro żąda, aby Watykan wyrzekł się swych uraz i obojętności na sprawy publiczne ojczyzny, gdyż społeczeństwo nowożytne potrzebuje dla zdrowego postępu współdziałania religii i wolności, Kościoła i demokracyi.

L. W.

Z POWODU „PRZĘDZIWA.“

W jednym z poprzednich numerów *Prawdy* dano krótką charakterystykę tego zbiorku dla młodzieży. Otóż w książce tej znajduje się „Podanie o królewiczu indyjskim“ J. Karłowicza, które chcemy tu oświetlić kilku uwagami.

Uczony badacz zużył się na chwilę do umysłów dziecięcych, aby im opowiedzieć legendę o genezie nauki Siakjamuniego, jej środowisko umysłowo religijne i społeczne, jej zasadę twórczą. W rzeczywistość samej osoby Buddhy Karłowicz nie wierzy — nie wydaje mi się to dydaktycznie stosownem. Podanie przypuszczalnego roku urodzenia 543 (str. 168), pomija granicę możliwości, ustanowioną przez Lefmana („Geschichte d. alten Indien“) na r. 480. Na str. 168 czytam, że w Azyi buddhyzm wyznaje 400 mil. ludzi, a na str. 171, że znalazł on ogromne powodzenie „szczególnie w Indyach.“ Liczba 350—400, potocznie dotychczas przyjmowana, obecnie już jest w dwójnasób wygórowaną. W wydaniu 8-m Balbiego-Heidericha (1893, t. I, s. 273) szczegółowo zsumowano niespełna 148 milionów — przyjąć można 150. Co do powodzenia w Indyach, miał je rzeczywiście buddhyzm tylko do II w. przed Chr., trzymał się potem w pewnem natężeniu do III w po Chr., ale powodzenie jego nigdy nie było „ogromnem,“ nawet za Asioki, kiedy kwitnął. Był on zawsze wyznaniem, walczącem o życie i wywalczyć go sobie na obszarze całego Hindustanu nie zdołał. Stary braminizm nie dał się zdusić i w IX w. po Chr. sam młodego współzawodnika powalił. Kiedy w Europie i na pomorzach zachodnich Azyi wyrastało chrześciaństwo, nauka Nirwany przestawała już być wyznaniem narodowem na stałym lądzie Hindustanu i w tym charakterze utrzymała się tylko na Cejlonie. Rodowitą stała się jedynie dla Malajczyków, Mongołów i na przejściu stojących Chińczyków. Tam istotnie się przyjęła i znalazła sobie przybrane ojczyzny. We właściwym Hindustanie naliczyła statystyka angielska w r. 1891 zaledwie półtora miliona buddhystów, a na 291 mil. ogółu ludności w Indyach angielskich 8,545,674.

Tłómacząc *nirvana* pięknym wyrazem „zwianie“ (indywiduum, jego duszy), Karłowicz nazywa Buddhę „oswobodzicielem ludzkości,“ a w nauce jego widzi „pociechę“ i „promień nadziei, a więc prawdziwe dobrodziejstwo.“ „Zrozpaczonym obawą metempsychozy bez końca buddhyzm przyniósł niespodziewaną pociechę.“ Zapewne— ale, żeby tę pociechę mieć, potrzeba było wprzódy wierzyć w metempsychozę, a właśnie te miliony na północ i na wschód od Hindustanu, wśród których buddhyzm rzeczywiście już znalazł ogromne powodzenie, w wędrówki dusz nie wierzyły, kiedy do nich zawitał. Musiała więc być inna przyczyna tak silnego przyswojenia, że w niem aż pierworodztwo buddhyzmu zatonęło. Dziś jego gniazdem głównem jest Tybet.

Tym wszystkim ludom, wyznającym szamanizm jako typ tysiąca drobniejszych wiar i wierzeń, hołdującym etycznemu lub bezetycznemu naturalizmowi; składającym cześć „świętym mężom“ lub przodkom, jak Chińczycy, wreszcie niezdolnym do wzbicia się nad poziom bóstw małych, w codziennem życiu potrzebnych lub nieuniknionych, — jak Malaje w Pegu, — w Arakanie, Birmie, Syamie, na Jawie — walczący z metempsychozą buddhyzm musiał dopiero ją przynieść, aby mógł z nią walczyć, i dopiero po wszczepieniu rozpaczy szczepić mógł pociechę. Pięknie wyglądające przykazanie miłości bliźniego i miłosierdzia dla żywego stworzenia, wrażone w znanych sześć kanonów I osiem maksym buddhyzmu, wychodziło z założenia wiary w metempsychozę i od niej oderwać się nie dawało. Nowa ta religia mówiła człowiekowi: „Bądź dobrym dla człowieka, bo złych czeka wędrówka długa, długa a bolesna; miej litość nad stworzeniem, bo w niem może mieszkać dusza człowieka.“ Pozbawiony idealistycznej bezwzględności nakaz dobra popierał tylko spekulacyę egoizmu, dążącego do osobistego zbawienia — dążność zresztą wspólną wielu religiom — i był jakby wiecznie nieszczęśliwym ojcem, tracącym dzieci, ledwo się urodziły. Społeczeństwom, które ogarnął, przyniósł wprawdzie doraźnie pożytek przez to, że je moralnie w stan skupienia wprowadził, ale rzuciwszy tę cywilizacyjną podstawę, nie wydał już wyższej, z poczucia wspólności wyszłej zasady religijnej — i stał się społecznie bezpłodnym. W Chinach altruistyczna organizacya społeczna, na idei rodziny oparta, istniała już od wieków, kiedy jeszcze w Hindustanie ani buddhyzmu, ani samego Gautamy nie było.

Co jest, co praktycznie, pozytywnie, było twórczą zasadą buddhyzmu? Nie zwianie lub zdmuchnięcie duszy, ale zgaszenie żądz, zalecane jako droga do *nirwany* Wyrzeczenie się takie, wydając z siebie religijny ascetyzm, z całą jego wyznaniową wartością, ale i ze wszystkiemi społecznemi niebezpieczeństwami, dla porządków świeckich, dla losu historycznego narodów buddhyzmem dotkniętych, czemże się stało, jeśli nie zasadą gnuśności, odrętwienia, martwoty i w końcu śmierci? Nirwana, zwyciężająca fatalizm metempsychozy, wraz z nią urojeniem tylko być mogła; ale owo gaszenie wszelkich żądz ziemskich, w życiu umysłowem, świeckiem, w stosunkach społeczno-politycznych musiało już być dotykalną, nagą a straszną rzeczywistością. Gasząc żądzę, zabijano w sobie energię, rozsądek, interes, propagowano bierność i cierpienie, rzucano się na oślep pod koła woli i energii wyższej, którą sama natura uspołecznienia nietkniętą z pod nakazów ascetyzmu wydobywała. Ta energia znowu, jako siła i władza, znajdowała w buddhyzmie sprzymierzeńca swej bezwzględności i chwytała się go tem skwapliwiej, iż współzawodniczący z nią wszędzie stan kapłański w buddhyzmie przez gaszenie żądz gasił i sam siebie politycznie. Taka abdykacya z siły życia, z samej życia żądzy i potrzeby, — a dalej z rozsądku, zdolności umysłowych i wyobraźni— i po za tem jeszcze z przyszłości, z trudów i środków ją zabezpieczających — ze wszystkiego, co się mieści w pojęciu siły wchodzącej z jednostki w zbiorowość dziejową,—okazała się tak dogodną dla Azyatów, że ich nawskroś przeżarła: urobiła dusze nieme, bezwładne, stadające się po ziemi—ale tylko dopóty, dopóki nie nastręczyła się im sposobność do wywarcia fizycznej swej siły i żadnemi ascetyzmami i nirwanami nie dającej się skrępować zmysłowości. Dobroczynnym społecznie buddhyzm był tylko dla stojących w górze; masy na padole unieszczęśliwiał przez wiekuistą niemrawość. Kultura w tych społeczeństwach rozwinąć się nie mogła: egoistycznym celom energii obcą była, a odrywał od niej sam buddhyzm. I to jest jego główne przestępstwo, że rozwój kultury wstrzymywał. Niech nikt nie przytacza Japonii, bo tam kult narodowy *Sin-to* nigdy nie utracił panowania, choć *bud-tso* ilościowo narosło.—W słonecznych przestworach Baktryi Ahura-mazda nakazywał pracę, najgrubszą i najcięższą pracę, a we wszelkiej czcił użyteczność, wytwórczość, ubłogosławienie znojem samym; wzywał do zaciętej walki ze złą

naturą, do tępienia szkodliwego zwierza, chydnych płazów i gadów — a z fizycznej natury nakaz ten przenósił na moralną: wezwania tego nie usłuchały ludy Iranu, jak należy, nie rozwinęły w sobie czerstwej energii życia; ale ludom mongolskim i malajskim wzgląd na własne dobro nakazywał właśnie nauce Buddhy nie uledz, a skoro jej uległy, to chyba z gnuśności tylko lub z rozpaczy. Skądkolwiek spojrzeć, nigdzie nie widać tej nauki dobrodziejstw. Jest ona może jeszcze i teraz pocieszycielką milionów, które wpierw sama zasmuciła, ale bezpłodne jej łono nie wydało z siebie i nie wyda już nigdy tego, coby mogło mieć jedyną metafizyczną — w religiach wszelkich swoistą—wartość dla dusz, żyjących wewnątrz siebie, a koniecznością życia na zewnątrz znużonych, przeciwieństwami jego szarpanych, niedolą skołatanych, rwących się do jakichś czystszych istot, czystszego życia i do świata wreszcie, do jakiegoś *mundus* i *kosmos*, któryby rzetelniej od poznanego już tym nazwom swoim odpowiadał. Ostatecznie mniemam, że niema sobie co życzyć buddhyzmu w Europie, do której już zawitał, a widok jego w Azyi żałość tylko wywołać może. Kiedy już chodzi o nicość, to materyalizm daleko prościej rozwiązuje zadanie zdmuchnięcia czy zwiania duszy: nie zapala jej wcale, w jej płomień swoisty nie wierzy, nie potrzebuje więc gasić tego, co wcale nie płonęło. Materyalizm utajony w buddhyzmie ma swoją indywidualną wartość tylko na gruncie braamanizmu, z którego wyrósł: z gruntu tego wyrwany schnie. Wyręczają go inne sceptycyzmy i dają robotę unicestwienia prostszą i łatwiejszą.

Stanisław Krzemiński.

PRZEGLĄD MUZYCZNY.

Z estrady i ze sceny.

Koncerty Henryka Melcera trwałemi głoskami zapiszą się w kronikach bieżącego sezonu muzycznego, z dwóch względów: przedewszystkiem dlatego, że zapoznały nas z odznaczonymi utworami laureata konkursu berlińskiego, powtóre, że wystawiły Warszawie raz na zawsze świadectwo muzykalności. Trudno w istocie uwierzyć, a jednak fakt to już nieodwołalny — sale Redutowe, które zapełniają się, gdy chodzi o usłyszenie kilku piosenek rozgłośnej za granicą primadonny, po raz już drugi pustką przyjmują artystę, którego niepospolitemu talentowi cudzoziemcy taki wybitny dowód uznania złożyli. Czemu przypisać tę obojętność publiczności naszej dla rodaka? Czem wytłomaczyć to, że nie była ciekawa przekonać się, czy też słusznie obcy go nagrodzili? Chyba tem, że jej się Melcer reklamą nie narzucał, zbyt częstymi występami nie dokuczał, a dziecięcymi popisami nie nużył.

Jeśli jednak złą obrał drogę do popularności warszawskiej, poszedł najwłaściwszą i najprostszą do trwałej, zasłużonej sławy. Talent, jaki z sobą na świat przyniósł, poparł nieustanną pracą, sumiennemi studyami i osiągnął, naturalny w takich warunkach, rezultat: wzbogaca już dzisiaj literaturę muzyczną dziełami pierwszorzędnej wartości. Przed kilku miesiącami zapoznaliśmy się z konkursowem „Triem“ Melcera, o którem na tem miejscu była w swoim czasie mowa; d. 23 marca przedstawił nam swój drugi, nagrodzony w Berlinie, utwór: „Koncert E-mol,“ z towarzyszeniem orkiestry.

I w tem dziele, zarówno jak w poprzedniem, przebija energiczna siła twórcza, młodzieńczy polot, bujny temperament i wielka umiejętność wyzyskiwania melodyj, wypływających z ożywczego źródła prawdziwego talentu. Pierwszy temat początkowego „Allegro,“ w zasadniczej tonacyi E-mol, przeprowadzony jest z wielką różnorodnością pomysłów, zawsze zajmujących, a często zdumiewających swoją odrębnością — część tę kończy orkiestrowe *tutti*, grzmiącą falą dźwięków, która wszakże tak umiejętnie ujęta jest w ramy harmonii, że przewodniego głosu fortepianowego nie zagłusza. Przez zręczne bardzo „Fugato“ i śpiewne „Andantino,“ w którem melodyę prowadzą wiolonczele, wiedzie kompozytor do „Finału“ (E-dur), trzymanego w skocznych rytmach oberka; melodyę, intonowaną bardzo dowcipnie przez fagot, podejmują następnie inne instrumenty, uderza w nią i fortepian i wre i huczy wszystko swojskimi dźwiękami, śród których odzywa się niby rzewny ton fujarki.

Koloryt całej kompozycyi taki jest żywy i barwny, że nazwaćby można Melcera impresyonistą w muzyce. Orkiestracya przeprowadzona świetnie, z należytem ustosunkowaniem pojedynczych głosów; przy właściwej mierze, w kontrapunkcie i w zharmonizowaniu całości pełno niespodzianek, zadziwiających oryginalnością. Młody kompozytor dowiódł takiego opanowania wszelkiemi trudnościami technicznemi, że można mu śmiało przepowiedzieć chlubną przyszłość w dziedzinie muzyki symfonicznej. Słuchając tego bogactwa melodyj, płynących łatwo a szeroko, tych obfitych motywów coraz odmiennych, zdawało nam się, że w dziedzinie operowej Melcer znalazłby odpowiednie wielce pole dla swej twórczości. Program obejmował także utwory jego fortepianowe: „Morceau fantastique,“ „A la menuetto,“ wreszcie jako naddatek dorzucił koncertant własne „Intermezzo.“ Kompozycye to ze wszech miar udatne, naccchowane piętnem tego talentu prawdziwie z „bożej łaski.“

Wiadomą jest rzeczą, że Melcer i w rzędzie artystów-wykonawców niepoślednie zajmuje stanowisko. Jeżeli „Nowelecie“ (F-dur) Schumanna zaszkodziło zbyt prędkie tempo, a w „Romansie“ (D-mol), również Schumanna, pragnęlibyśmy trochę więcej ciepła i uczucia — to wykonanie „Koncertu D-mol“ Rubinsteina z orkiestrą było wprost świetne. Melcer odegrał to niepospolite dzieło z równym zapałem i przejęciem, jak swoje własne.

Orkiestra teatralna, pod umiejętnym kierunkiem Zygmunta Noskowskiego, rozpoczęła program uwerturą Beethovena „Lenora“ nr. 3, i z właściwą precyzyą towarzyszyła koncertantowi.

W Towarzystwie muzycznem słyszeliśmy p. Czopównę, młodą fortepianistkę, której gra przyzwoita żadną wybitniejszą nie wyodrębnia się cechą; pannę Maryę Forrest, głośną śpiewaczkę pieśni, która już po raz drugi w tym sezonie zachwyca słuchaczów ślicznym głosem i znakomitą szkołą — wreszcie p. Butkiewicza, wiolonczelistę, którego występ był prawdziwą a bardzo zajmującą niespodzianką.

Młody artysta — uczeń Klengla, a początkowo prof. Jana Karłowicza — stoi już dzisiaj na tych wyżynach sztuki wykonawczej, z których do doskonałości droga niedaleka. Przedewszystkiem technikę posiada bajeczną, sprawność ręki zdumiewającą; z najtrudniejszemi kombinacyami autora igra bez najmniejszego wysiłku, a z poważnych strun wiolonczeli skrzypcowe wydobywa dźwięki. Ton ma przytem pełny, okrągły, chociaż za mało rzewny; chłód wiał w wykonaniu np. „Nokturnu“ (Es-dur) Chopina. Natomiast odegraniem utworów takich, jak „Koncert“ Poppera i „Fantazya“ z op. „Córka regimentu“ Servais'go, wzbudził w słuchaczach zasłużony entuzyazm.

W operze królaje chwilowo Battistini. Niejednokrotnie już mieliśmy sposobność pisać o występach tego znakomitego artysty, moglibyśmy więc chyba powtórzyć to wszystko, cośmy o nim jako o śpiewaku i aktorze mówili. Nie zmienił się bowiem jego przepiękny głos, nie uległa żadnemu przeobrażeniu jego doskonała sztuka aktorska. Jakiejkolwiek partyi się podejmie, stworzy z niej *postać* i skupia na sobie całą uwagę słuchaczów, zmusza do tego, że zapominają niemal o całem jego otoczeniu. Zwłaszcza zaś, gdy jest takie mało zajmujące, jak w „Balu maskowym,“ który Battistini wybrał na pierwszy swój występ.

P. Piccaluga— tenor, posiadający kilka dobrych wysokich nut i na nich szukający efektów — traktował partyę księcia zanadto ociężale, arya u wróżki np. odśpiewana była bez żadnej werwy, a przecież to jeden z wdzięczniejszych momentów partyi. P. Labia, grającą rolę Amelii, nazwalibyśmy śpiewaczką „dyskretną,“ — szkołę ma dobrą, głos dosyć dźwięczny, ale cóż, kiedy dyskrecyę swoją często tak daleko posuwa, iż jej wcale nie słychać; „dyskretna“ jest też p. Labia w grze, a nawet w charakteryzacyi. Duet z księciem (akt 3-ci) pod krzyżem odśpiewany był jednak bardzo poprawnie; dobrą też miała artystka chwilę w drugiej odsłonie tego aktu, w scenie z mężem. P. Przygodzka wcale dobrym była paziem; pod względem wokalnym zadowoliła słuchaczów, gra aktorska wszakże szwankowała — brakło jej urozmaicenia i filuterności. „Basowe podpory“ opery— pp. Sillich i Crotti, odtworzyli postacie spiskowców. Mężem był Battistini. Takiego Renata nie słyszeliśmy jeszcze na naszej scenie. Słynna arya „Eri tu“ (druga odsłona aktu 3-go) była punktem kulminacyjnym tej roli, opracowanej w najdrobniejszych szczegółach zarówno pod względem wokalnym, jak aktorskim.

P. Dylewska w roli wróżki-Cyganki wykazała głos rozległy, dźwięczny, ale nie mający jeszcze podstawy; zdawało się nieraz, że artystka posiada kilka emisyj. W aktorskiej stronie partyi nie wyróżniła się śpiewaczka niczem od zwykłego szablonu.

Br. N.

ODCZYTY.

K. Danielowicz-Strzelbicki: *Antropologia i jej zadania.*

Odczyt p. Danielowicza-Strzelbickiego sprawił mi podwójną przyjemność.

Popierwszo, znalazł się ktoś, co pokochał upośledzoną u nas naukę, jaką jest antropologia. Nie chcę przez to powiedzieć, ażeby inne dziedziny wiedzy odznaczały się zbyt wielkim rozwojem. Ale losy antropologii leżą mi jakoś bardziej na sercu, niż geologii lub paleontologii, może dlatego, że w swoich pracach socyologiczno-etnograficznych wciąż odczuwam brak materyału, dotyczącego własnej ziemi, i niewielu widzę, którzyby krzątali się około zapełnienia tej luki.

Powtóre, lubię niezmiernie entuzyastów. Prelegent zaś wydał mi się szczerym, gorącym entuzyastą. Trudno być prorokiem, nie będę więc wróżył, co przyniesie w przyszłości ten zapał, ale w każdym razie chce mi się wierzyć, że p. K. Danielowicz-Strzelbicki nie ustanie w pracy na polu, które leży odłogiem. Miał on słuszność najzupełniejszą, twierdząc, że prawie nic u nas nie zrobiono, choć dużo jest do zrobienia. Dane antropologii tak wiążą się z zagadnieniami o naszej przeszłości, tyle światła rzucają na zasoby sił fizycznych i nawet duchowych naszego narodu, tyle mogą dać wskazówek dla hygieny gromadnej, że tylko można się radować, widząc nowego zapaleńca, biorącego się do pracy w zaniedbanej winnicy.

Odczyt był poświęcony przedstawieniu zadań antropologii, jako nauki, która podobnie do zoologii, badającej organizmy

zwierzęce, z takiego samego punktu widzenia studyuje człowieka. Prelegent zatrzymał się nad początkami tej nauki, podniósł olbrzymie zasługi Pawła Broca, przejrzał nasze skromne dobytki. W dalszym toku przedstawił słuchaczom metody, używane w antropologii, i pokazał sposoby dokonywania pomiarów. Między innemi zawiadomił, że na przyszłej wystawie hygienicznej w Warszawie będzie działała pracownia antropometryczna, oraz wyraził nadzieję, że może znajdą się środki, które pozwolą z czasowej stworzyć instytucyę stałą.

Wraz z prelegentem podzielamy to życzenie. Taka pracownia mogłaby powstać przy Towarzystwie lekarskiem, którego uczestnicy chyba nie będą sprzeciwiali się temu, ażeby p. K. Strzelbicki zużytkowywał tam swój zapał dla wiedzy antropologicznej.

L. Krzywicki.

SPRAWY EKONOMICZNE

PRODUKCYA NA OŚLEP.

Przypadkowość i nieświadomość w życiu ekonomicznem zawsze u nas grały ważną rolę, prowadziły do ciężkich i nieuniknionych omyłek. Na ich podłożu rozpostarły się różne odłamy rolnictwa, wyrosły, że tak powiem, chorobliwe nabrzmienia produkcyi, które skupiły w sobie żywotne soki organizmu, pozbawiły ich siły odżywczej i wycieńczyły ogólną energię wytwórczości. Dziś już w jednostkach ukształconych gruntownie, patrzących nietylko po za miedzę własną, lecz nawet daleko po za granice sąsiadów, zaczyna coraz jaśniej przebłyskiwać świadomość potrzeb, warunków ogólnych i oświetlać ten niewidzialny przez czas długi dla masy łańcuch stosunków wszechświatowych, w którym drgnienie jednego ogniwa wstrząsa szeregiem innych, wytwarza ich zgrzyt i falowanie. Ci, którzy wyobrażali sobie, że stanowią takie odrębne ogniwo, przykuli je i unieruchomili gwoździami swego zaścianka. Więc gdy ów łańcuch zatoczył wielkie koła, zmiótł w części z drogi zawady lub silnemi uderzeniami stara się je osłabić, nasza cząstka tej całości, wdeptana w miejsce swego unieruchomienia, nie potrafiła nabrać hartu, lecz pozwoliła na osiadanie rdzy, która zjada wszelką odporność; targane przez inne, poszczerbiło się i jest już dzisiaj trudne do naprawy.

Jak rzekliśmy, jednostki wybitniejsze, światłe i energiczne, starają się to ogniwo rolnictwa oczyścić ze śniedzi i włączyć je do ruchu ogólnego. Coraz więcej przybywa nam takich ziemian z młodszego pokolenia, patrzących szerzej na świat i oceniających rzetelnie wartość jego zdobyczy. Ich mozolna praca i pomyślne wyniki doświadczeń zachęcają innych, ale nie usuwają jeszcze tej nieświadomości i przypadkowości, któremi przerosła nasza gospodarka. Zrozpaczeni niepowodzeniem, zaczęli się chwytać wszystkiego, co na pozór mogło przynieść ratunek; z jednej ostateczności wpadli w drugą: porzucili rutynę i zmienili cały system gospodarki. „Uprawiajmy rdest sachaliński!" — ktoś zawołał, a za nim "prasa brukowa, wszechwiedząca i wszystkich nauczająca, zaczęła się rozpisywać o nowej roślinie i jej doniosłej roli w gospodarce. Ten, kto nie czerpie nauki z *Kuryerów*, kto poświęca swą pracę i uwagę ścisłym badaniom, nie ulegnie suggestyi krzykaczów powierzchownych. Większość atoli bezwiednie słucha tych głosów, robi skoki rozpaczliwo i stacza się w przepaść. Rdest nie wydał takich rezultatów, jakich oczekiwano. Ale niech sąsiad ograniczy żyto lub pszenicę, a większość swych pól zasieje np. cykoryą, wnet inni pójdą w jego ślady i zawiodą się srodze. Sąsiad pierwszego roku sprzedał całą swą produkcyę cykoryi, bo znalazł przypadkowo rynek. W roku następnym ten rynek może przyjąć taką samą lub nawet mniejszą ilość produktu, ale za cenę o połowę niższą wobec wielkiej podaży ze strony innych, którzy nie zapewniwszy sobie źródeł zbytu, zaczęli produkować na oślep. Po takim zawodzie, na rok trzeci cykorya, czy też inna roślina, ulega już całkowitemu wygnaniu z gospodarki. Gorączka jednak nie ustaje. Ktoś, sprzedawszy przypadkowo niewielką ilość pewnego gatunku koniczyny po rs. 100 za jednostkę wagi, zasiewa nią następnie znaczny obszar swych pól, tj. zmienia cały system gospodarki i już liczy olbrzymie zyski, zapala się przypuszczalnem powodzeniem, jak gracz giełdowy; gdy naraz dowiaduje się z przerażeniem, że cena koniczyny spadła do 30 rs.! Próba zatem, wynikająca z nieświadomości położenia i wymagań rynku, zbliża ziemianina do bankructwa.

Ogrodnik polski w jednym z najświeższych numerów umieścił odezwę konsulatu austryackiego, wzywającą ziemian naszych do uprawy wierzby koszykarskiej, której znaczną ilość może zakupić państwo sąsiednie. Kto wie, czy się nie powtórzy to samo, co już niejednokrotnie było. Rzucimy się masowo do uprawy wierzby, a gdy wytworzy się olbrzymi nadmiar i zniży ceny do poziomu nieopłacającego nawet kosztów hodowli tak niewybrednej rośliny, wtedy ją wydrzemy z gruntu i wyrzucimy raz na zawsze. A jednak wierzba koszykarska jest istotnie poszukiwana, więc oględna jej hodowla, odpowiednio do potrzeb rynku, może przynieść korzyść.

To samo co w hodowli, dzieje się w fabrycznym przemyśle rolnym. Moglibyśmy podać mnóstwo takich przykładów z dziedziny gorzelnictwa i innych przedsiębiorstw fabrycznych. Przypominamy sobie, że ktoś przed kilku laty założył w dobrach swoich fabrykę nawozów sztucznych, nie zbadawszy przedtem ani warunków zbytu, ani produkcyi i dostawy. Okazało się, że dowóz do odległej kolei żelaznej, przy pomocy uciążliwej drogi gruntowej, jest tak kosztowny, iż ten jeden warunek był już dostateczny do zabicia przedsiębiorstwa. Właściciel wyczerpał swoje gospodarstwo, wyssał na rzecz fabryki wszelkie źródła dochodu, zaniedbał inne gałęzie gospodarki i w końcu musiał zwinąć zakład; cały zaś swój byt tak dalece podkopał, że nie znajdzie ani środków, ani sił do jego naprawy. Takie są dotychczasowe czynniki produkcyi na oślep. Stała się ona wrogiem rolnictwa, jednym z najniebezpieczniejszych czynników ruiny.

Na szczęście, zarysowywa się obecnie okres przełomowy w systemie naszej gospodarki. Dzięki inicyatywie i pracy nieustannej owej garstki rozumnych, ukształconych i zdolnych ziemian, do rolnictwa zaczyna wchodzić ścisła nauka i świadomość działania. Wymownym zaś przykładem w tej mierze jest praca sekcyi cukrowniczej Towarzystwa przemysłu i handlu. Ogłosiła ona niedawno wyniki doświadczeń, dokonanych r. 1895 nad produkcyą buraków cukrowych z różnych odmian nasion. Są to badania tak poważne i systematyczne, że przynoszą chlubę gospodarstwu naszemu i dają świadectwo istotnego postępu. Doświadczenia te są organizowane przez cukrowników przedewszystkiem w ich własnym interesie, ale wywierają wielki wpływ na produkcyę i handel nasion w całym kraju. Celem tej pracy jest zdobycie jak najpewniejszych wskazówek, które odmiany są najwłaściwsze dla danych gruntów, oraz jacy plantatorowie robią największe postępy w ich uszlachetnianiu. Dotąd sekcya przeprowadziła już pięć seryj doświadczeń i wydała 28 sprawozdań z prób, dokonanych w 22 miejscowościach Królestwa Polskiego tudzież gubernij południowo-zachodnich. Praca to jest nadzwyczaj ciężka, jeżeli zważymy, że przy najstaranniejszem i najumiejętniejszem prowadzeniu doświadczeń, niepodobna liczyć na stanowcze powodzenie, bo całe owoce tych zabiegów i usiłowań mogą zepsuć nienormalne warunki klimatyczne, szkodniki, choroby, wreszcie trudna do spostrzeżenia różnorodność gruntu.

Zapewniano nas, że dziś już hodowla nasion buraczanych skutkiem udoskonalenia, opartego na nauce, tak się rozwinęła, iż kraj zaoszczędza około dwu milionów rubli rocznie; dzięki bowiem własnej uprawie, unika sprowadzania kosztownego produktu z za granicy. Warunki przybierają nawet wręcz odmienny obrót, gdyż dzisiaj Francya już chętnie nabywa nasiona, wytwarzane u nas, a pochodzące z za granicy. Po przejściu przez nasz grunt i klimat, nabierają one jakiejś szczególnej siły, która pozwala im na gruntach francuskich przynosić o 2% większą wydajność, niż u nas. Wielcy, wybitni hodowcy nasion buraczanych, liczą już swoje zarobki na dziesiątki, a nawet setki tysięcy rubli. Jeden z nich np. (z gub. połud.-zach.) sprzedał tego produktu na kontraktach kijowskich za 200 tysięcy rubli. Jak widzimy, cukrownie przyczyniły się do zorganizowanej i opartej na nauce hodowli nasion buraczanych.

Zdaje się, że podobnym czynnikiem do podniesienia uprawy kartofli były gorzelnie. Oprócz wzorowej, ogólnej stacyi Sobieszyńskiej, tu i owdzie właściciele ziemscy urządzają pola doświadczalne dla wypróbowywania na nich różnych odmian ziemiopłodów. Jeden z wybitnych rolników naszych prowadzi u siebie na wielką skalę takie doświadczenia z licznemi odmianami kartofli, a wypróbowawszy je dostatecznie, sprawdziwszy ich zalety, sprzedaje sąsiadom w szerokim promieniu; jest niejako ich instruktorem, udziela wskazówek i dostarcza gatunków, które są najodpowiedniejsze dla danych gruntów. Następnie nabywa u nich całą produkcyę i sprzedaje na rynkach pierwszorzędnych. Tym sposobem gospodarka nasza zaczyna przybierać nową postać: wchodzi pośrednik, hodowca doskonałych, mozolnie wypróbowanych nasion, a następnie, w tej samej osobie, hurtowy nabywca ich plonów. Wytwarza więc ognisko hodowlano-handlowe, licznym ziemianom zapewnia stały zbyt i sam na tem pośrednictwie dobrze zarabia. Taki tylko system, jako przejściowy, może mieć racyę bytu i przynosić pomyślne rezultaty. Drobni rolnicy nie mogą z powodzeniem urządzać u siebie pól doświadczalnych i następnie uprawiać produktów na sprzedaż; brak im po temu nauki, środków i przestrzeni. Byłoby racyonalniej tworzyć spółki, utrzymywać zbiorowe stacye i następnie prowadzić zbiorową uprawę odmian wypróbowanych. Ale na to trzeba byłoby poczekać zbyt długo i przekształcić gruntownie stosunki obecne.

Inne fakty świadczą również o bezustannych zabiegach ziemian około wynalezienia nowych racyonalnych dróg naprawy gospodarstwa. Jeszcze niedawno ogórki odgrywały u nas podrzędną rolę i głównie służyły tylko na użytek domowy. W porze normalnej — przy końcu lata, ceny zwykle są tak nizkie, że nie opłaciłoby się wcale traktować tego produktu poważnie w dziedzinie handlu. Może on mieć wartość i przynosić zyski tylko jako nowalia w zimie lub na wczesną wiosnę. W tych właśnie porach roku napływa on na rynki nasze z Cesarstwa i jest ceniony po ru-

blu za fant. Okazuje się, że dla hodowli jesiennej są tam przyjazne warunki klimatyczne, gdyż ogórki wymagają dużo słońca. U nas, niestety, brak jego w jesieni, gdyż klimat nasz nie należy do typowo kontynentalnych, więc nie odznacza się stałością. Z tych właśnie względów nie możemy produkować masowo i tanio ogórków, jako nowalii na styczeń i luty. Technika wszakże potrafi pokonać choćiaż w części warunki nieprzyjazne. Mamy już właśnie próby w tej mierze, bo oto niedawno powstała pierwsza w kraju na wielką skalę szklarniana hodowla ogórków wczesnych wiosennych i dała dotychczas pomyślne wyniki.

Fakty powyższe świadczą, że obok produkcyi na oślep, zaczyna coraz silniej zarysowywać się świadomość i celowość w gospodarce, poparte nauką i techniką. Jeżeli te cztery warunki znajdą szerokie zastosowanie, jeżeli ziemianie nasi zechcą bardziej się rozglądać w ogólnem położeniu ekonomicznem i liczyć z potrzebami rynków, jeżeli każdy rolnik nie poprzestanie na przyjęciu do wiadomości, co i ile jego sąsiad produkuje, lecz będzie dostatecznie obeznany z wytwórczością całego kraju i odpowiednio do niej zastosuje własną, jeżeli wreszcie będzie śledził wpływy wszechświatowe na handel i przemysł rolny, — produkcya na oślep zniknie wtedy zupełnie, a zarazem i dotkliwe omylki, popełniane dziś na każdym kroku i spadające wielkim ciężarem nietylko na ludność rolniczą, lecz inne grupy społeczeństwa.

Zen. Piet.

Zjazd handlowo-przemysłowy. Podczas wystawy w Niższym Nowogrodzie z polecenia ministeryum skarbu zwołany będzie zjazd handlowo-przemysłowy, który obejmie poniższe sprawy dla wszystkich części państwa. Ma się on dzielić na sześć sekcyj: a) przemysłu fabrycznego i rzemiosł; b) drobnego; c) handlu ogólnego; d) handlu z Azyą; e) budowy statków i żeglugi, wreszcie f) wykształcenia technicznego. Do udziału w sprawach zjazdu zaproszeni będą: a) przedstawiciele rady handlu i przemysłu, instytucyj, mających głos doradczy w tego rodzaju sprawach, oraz przedstawiciele komitetów giełdowych; b) przedstawiciele towarzystw prywatnych, instytucyj naukowych i technicznych; c) osoby znane z prac naukowych lub praktycznych na polu handlowo-przemysłowem, stosownie do uznania p. ministra skarbu. Nadto dopuszczeni będą na zasadzie uznania prezesa zjazdu: właściciele zakładów przemysłowych i fabryk, oraz przedstawiciele prasy. Uchwały zjazdu do rozpatrzenia przedstawione będą p. ministrowi. Oto wykaz spraw, które wejdą pod obrady: 1) Przemysł fabryczny i rzemiosła: zmiany i uzupełnienia w obecnych przepisach prawnych, dotyczących przemysłu fabrycznego, środki poparcia przemysłu drobnego, przerabiającego materyały surowe pochodzenia krajowego; syndykaty przemysłowe i handlowe, i środki ku polepszeniu bytu robotników; zmiana taryf celnych, fabrykacya nawozów sztucznych itd. 2) Przemysł drobny: środki podtrzymania i rozwoju przemysłu drobnego. 3) Handel wogóle: wprowadzenie systemu metrycznego miar i wag; marki fabryczne; znaczenie elewatorów dla handlu zbożowego i agentury handlowe na kolejach żelaznych; środki unormowania i uregulowania handlu zbożowego; uproszczenie formalności celnych przy odbiorze towarów; utworzenie w Petersburgu i Moskwie izb obrachunkowych (*Moring houses*) dla uproszczenia obrotów pieniężnych; zmiany dotyczące przepisów pocztowych i telegraficznych przy korespondencyi handlowej. 4) Handel z Azyą: w jakich warunkach i przy jakich taryfach kolejowych można liczyć na skierowanie transportów towarowych z Chin i Japonii na kolej Syberyjską; środki rozwoju handlu rosyjskiego w Chinach, w Mandżuryi, Mongolii i Persyi itd. 5) Żegluga i budowa statków wodnych 6) Wykształcenie techniczne: jakich przeważnie techników z wyższem, średniem i niższem wykształceniem technicznem potrzebuje obecnie przemysł krajowy? jakie typy szkół dla młodzieży fabrycznej są najtańsze i najpraktyczniejsze? tworzenie kursów dla robotników dorosłych itd. Prezesem zjazdu jest p. Kobeko.

W DALI.

Mińsk. Statystyka urzędowa podaje garść szczegółów o zakładach naukowych w gub. Mińskiej. W roku szkolnym 1894—5 było ich ogółem 2,813. W porównaniu z rokiem poprzedzającym ilość ich wzrosła przeszło o 1,000, ale cyfra ta pada prawie wyłącznie na „chedery“ żydowskie, które w tym czasie zaliczono do rzędu zakładów naukowych. Parafialno-cerkiewnych przybyło 53. Cyfra ogólna uczących się wynosiła 63,857 osób, w tem 7,165 kobiet, które stanowią 11,2% liczby ogólnej. W stosunku do ogółu mieszkańców gub. Mińskiej, około 2 milionów osób, ucząca się młodzież stanowiła 3,27%. Z zakładów naukowych pierwsze miejsce zajmują dwa gimnazya: w Mińsku i Słucku, gdzie w roku sprawozdawczym pobierało naukę 693 uczniów, z których 308, czyli 44,44% było wyznania prawosławnego, 254 katolików, czyli 36,65%, Żydów 89, czyli 12,85%, protestantów 34, czyli 4,91% i mahometan 8, czyli 1,15%. Co do pochodzenia, dzieci szlachty było 69,26%, mieszczan 22,66%, duchownych 3,03%, włościan 4,91% i obcych poddanych 0,14%. W gub. Mińskiej istnieją też dwa progimnazya: w Bobrujsku i Mozyrzu. Było w nich 245 uczniów, a z tych 142 prawosławnych, 72 katolików, 27 Żydów i 4 protestantów. Realnych szkół dwie: w Mińsku i Pińsku. Ogólna liczba uczących się w nich 335, a w tem prawosławnych 135, czyli 40,33%, katolików 140, czyli 41,79%, Żydów 40, czyli 11,94%, protestantów 16, czyli 4,78%, i mahometan 4, czyli 1,16%. Dzieci szlachty było 205, czyli 61,18%, mieszczan 88, czyli 26,29%, włościan 32, czyli 9,55%, duchownych 4, czyli 1,18%, i cudzoziemców 6, czyli 1,78%. Szkoła niższa rolnicza, istniejąca w Marycn-Górce, pow. Ihumeńskim, liczyła w tym czasie wraz ze szkołą chmielarstwa w Piotrowiczach, w pow. Bobrujskim, ogółem 109 uczniów, z których 97 należało do wyznania prawosławnego, 11 było katolików i 1 protestant. Najwięcej było dzieci włościan. Stanowili oni 68, czyli 62,38%, dalej mieszczan 17, czyli 15,6%, szlachty tyleż, duchownych 7, czyli 6,42%. W gimnazyum żeńskiem, które istnieje w Mińsku, pobierało naukę w roku sprawozdawczym 568 dziewcząt. Z tych 240, czyli 42,25%, należało do wyznania prawosławnego, 221, czyli 38,90%, było Żydówek, dalej 85, czyli 14,97%—katoliczek, 19, czyli 3,35%, protestantek i nakoniec 3, czyli 0,53%, mahometanek. Córek szlachty było 276, czyli 48,59%, mieszczan 274, czyli 48,24%, duchownych 17, czyli 2,99%, i włościan 1, czyli 0,18%. Oprócz powyższych, istnieją w gub. Mińskiej: cztery szkoły miejskie (w Mińsku, Borysowie, Nowogródku i Mirze), dalej seminaryum nauczycielskie w Nieświeżu, trzyklasowa szkoła żeńska Mińsku, 320 szkół ludowych, 180 cerkiewno-parafialnych, 1,141 elementarnych, 8 rządowych żydowskich, 9 prywatnych zakładów naukowych dla chrześcian i 11 dla Żydów, 4 „talmud-tory“ i 1,117 chederów pod kierunkiem malamedów. W roku bieżącym przybędzie nowa szkoła rzemieślnicza w Mińsku. na której założenie miasto przeznaczyło 25,000 rs. i plac.

Petersburg. Jak donoszą *Nowosti*, kurator okręgu petersburskiego wydał okólnik o egzaminach ostatecznych w szkołach realnych następującej treści: „Uczniowie szkół realnych, posiadających siedm klas, z przyczyn niewiadomych poddawani byli egzaminom podwójnym, raz przy przechodzeniu z klasy szóstej do siódmej, a drugi raz przy końcu kursu siedmioletniego. Ponieważ nie odpowiada to przepisom, ani wywołane jest potrzebą lub koniecznością, kurator zarządził, żeby w szkołach realnych, posiadających dodatkową klasę VII, uczniowie przechodzili bez egzaminów z klasy VI do VII. Ci uczniowie, którzy nie będą chcieli przejść do klasy VII i poprzestaną na kursie sześcioletnim, nie powinni podlegać egzaminom specyalnym, ale otrzymują świadectwo przejścia klas sześciu na podstawie stopni rocznych. Ci uczniowie, którzy będą mieli stopnie niedostateczne z niektórych przedmiotów, mają zdawać w jesieni egzamina dodatkowe i z tych przedmiotów otrzymują świadectwa uzupełniające na zasadzie przepisów ogólnych.“ Rozporządzenie to, wnioskują *Nowosti*, znosi faktycznie egzamina ostateczne dla uczniów szkół realnych, posiadających siedm klas, i należy mieć nadzieję, że będzie z czasem zastosowane nietylko w innych okręgach naukowych, lecz i w tych szkołach realnych, w których z powodu braku klasy VII dodatkowej, wykład nauk ogranicza się na kursie sześcioletnim.

KRONIKA.

Podatek szpitalny w Warszawie za r. 1895 dał ogromną sumę 203,271 rs. 80 k. Szpitale za bezpłatne leczenie chorych, którzy się wylegitymowali kartami, otrzymają około 100,000 rs., pozostanie więc 103,000 rs., które mają być użyte na budowę nowego szpitala. Jeżeli ów podatek nie będzie zmniejszony, a dochód z niego utrzyma się nadal w tej mierze, Warszawa powinnaby wkrótce stanąć w rzędzie miast, posiadających szpitale najliczniejsze, najświetniej urządzone i najtańsze.

Biuro kanalizacyi wobec zamierzonych robót nowej seryi. nie zmniejszy składu służbowego.

Credit Lyonnais, słynna instytucya finansowa francuska, ma założyć filię w Warszawie.

Bank dyskontowy odprawił swoje doroczne zebranie — jak zwykle — w zupełnej zgodzie członków, którą tylko dla ożywienia rozpraw troszeczkę zamącił p. Poretz. Dywidendy przyznano 7%.

Klimat nasz w roku bieżącym dosięgnął chyba szczytu swych kaprysów. Od kilku dni pada śnieg— [illegible] więc czwarte wznowienie zimy.

Towarzystwo dobroczynności zakłada nowy przytułek „Nazaret.“ dla młodych włóczęgów i dzieci pozbawionych opieki.

W Tow. jedwabniczem na ostatniem posiedzeniu zarządu stwierdzono znowu wzrastające zapotrzebowanie jajeczek jedwabnika. Cóż z tego? Jajeczek sprzedaje się coraz więcej, członkowie przybywają, morwy się sadzą. wszystko świadczy o rozwoju, a jedwabiu krajowego jak była szczypta, tak jest.

Sądy We Włocławku osądzono sprawę adwokata W. Pudrzyńskiego, który, zabrawszy pieniądze, należące do klientów, uciekł za granicę i tam został aresztowany. Skazano go na 2 miesiące więzienia.

Ustawa rady adwokackiej warszawskiej nie została zatwierdzoną.

Reforma monetarna w Rosyi, ze zmianą na złoto i ustanowieniem równoważnych mu biletów kredytowych, została już w projekcie wniesiona do Rady [illegible]

Szkoły. Wychowanica kursów handlowych w Petersburgu, p. Józefa Siemiradzka, z początkiem nowego roku szkolnego otwiera w Warszawie specyalne kursa dla kobiet, pragnących się poświęcić zawodowi handlowemu. Program wykładowy dwuletni obejmować będzie: języki nowożytne, rachunkowość, korespondencyę handlową, towaroznawstwo, stenografię, oraz prawo handlowe i wekslowe.

— Z powodu niezapłacenia wpisów, z Akademii lekarskiej w Petersburgu uwolniono 161 studentów.

Koleje i komunikacye. Na kolejach tutejszych ma być wprowadzony aparat, wskazujący automatycznie nazwę stacyi, przez którą pociąg przebiega.

— Minister komunikacyi pozwolił na wprowadzenie następującej zmiany w redakcyi § 22 ustawy kasy emerytalnej kolei Wiedeńskiej: „Do wysługi emerytury zalicza się każdy rok służby, opłacony należytemi składkami Tym pracownikom, którzy weszli przed wprowadzeniem nowej ustawy, lata służby zaliczają się do ogólnego terminu wysługi emerytalnej, bez opłacania go osobistemi składkami, przyczem etatowi pracownicy tej kategoryi zwolnieni są także i od składania wpisowego. Prawa, nabyte przez uczestników w poprzedniej kasie zjednoczenia, określone są warunkami likwidacyi tej insty-[illegible]“

— Na r. b. inżenierya ministeryum komunikacyi nakreśliła poważne roboty hydrotechniczne około uregulowania brzegów Wisły, pogłębienia jej łożyska i przestudyowania miejsc, w których formują się za-

tory lodowe. Na wszystkich czterech dystansach inżenierskich zaproponowano tego rodzaju roboty, które mają kosztować 172,000 rs. Nadto zażądano od skarbu kredytu na regulacyę brzegów na przestrzeni wiorst 12 od wsi Augustówki do mostu Aleksandryjskiego rs. 20,000 i dla ukończenia robót regulacyjnych zaczętych na dystansie drugim, między wsiami Kamień i Kępa Chotecka, Wróble i Wargocin, rs. 40.000. Na dystansie trzecim roboty regulacyjne mają być prowadzone między Warszawą a Nowogeorgiewskiem pod wsiami: Łomianki, Jabłonna, Dziekanów, koło Płocka i w dolinie ciechocińskiej, co będzie kosztowało rs. 150,000.

— *Swiet* pisze, iż ministeryum skarbu zezwoliło na przejazd osób podczas wystawy do Niższego Nowogrodu za biletami ogólnymi we wszystkich pociągach kuryerskich, bez osobnej dopłaty, z wyjątkiem kolei Mikołajewskiej i Moskiewsko-Niższogrodzkiej.

— W Wilnie otwarto komunikacyę telefonową. Abonentów jest 140, cena roczna rs. 75.

Wypadki. Od wyspy Lawensari w Finlandyi morze porwało na krze lodowej 27 rybaków; parowiec „Karin“ z portu Bałtyckiego udał się w celu poszukiwania zaginionych.

— Naładowany parowiec „Nautilius.“ płynący z Lubeki do Rewla, uderzył o skałę podwodną. Załoga ocalona przez rewelski parowiec ratunkowy „Meteor“ i przywieziona do Rewla.

Odpowiedzi Redakcyi.

Stałemu prenumeratorowi w Praszce. Podobno obecnie marszałkiem szlachty wołyńskiej jest hr. Uwarow. Opłata za wpisanie dziecka do ksiąg szlacheckich jest bardzo mała, a o jej wysokości objaśni odpowiedni urzędnik rządu gubernialnego, gdzie ta czynność ma się odbyć.

Nakładem naszym wyszła

Historya filozofii nowożytnej

prof. R. Falkenberga,

w przekładzie W. M. Kozłowskiego.

Dzieło to, obejmujące 667 stronic druku, kosztuje tylko: w Warszawie rs. 2 kop. 40, a z przesyłką pocztową rs. 2 k. 75.

OGŁOSZENIA.

TYGODNIK ILUSTROWANY znacznie powiększył od N. R. objętość i daje obecnie w każdym numerze: 20 dużych stron tekstu i ilustracyj, 16-to stronowy dodatek powieściowy i kolorową okładkę. Obecnie drukuje TYGODNIK nową powieść ***Bolesława Prusa*** p. t.: „***Faraon***“ poczem nastąpi druk ***wielkiej powieści jubileuszowej Henryka Sienkiewicza „Krzyżacy.“*** Przedpłata na TYGODNIK ILUSTROWANY wynosi w Warszawie kwartalnie rs. **2**, półrocznie rs. **4**, rocznie rs. **8**, z przesyłką pocztową kwartalnie rs. **3**, półrocznie rs. **6**, rocznie rs. **12**. — Adres: Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 17.

Nakładem Hieronima Cohna wyszedł zeszyt 5-ty (ostatni) C. Lombroso i M. Ferrero „**Kobieta jako zbrodniarka i prostytutka,**“ cena zeszytu 5-go rs. 2—50; całość rs. 4, w oprawie 4—65. „**Nala**“ poemat Or-Ota kop. 50. Niedawno wyszły: M. Cz. Przewóska „**Nietzsche jako moralista i krytyk**“ kop. 40. Baudelaire **Kwiaty Grzechu** kop. 50. Adres wydawcy: Włodzimierska 2.

Wydawnictwo GEBETHNERA i WOLFFA

ZESZYT I **wyszedł z druku**

Guhl i Koner

HELLADA I ROMA

Życie, obyczaje, zwyczaje, sztuka i przemysł starożytnych Greków i Rzymian.

Z licznemi ilustracyami.

Przekład **ST. MIECZYŃSKIEGO.**

Cena w przedpłacie za całość 12 zeszytów (dwa tomy) rs. **6**, z przesyłką rs. **7**, pojedynczego zeszytu **50** kop. Przy I zeszycie wnosi się przedpłatę na ostatni, tj. rs. **1**, z przesyłką rs. **1,20**.

Nakładem naszym wyszła

PSYCHOLOGIA DZIECKA

Dr. med. L. Wolberga.

Cena **rs. 2**, z przesyłką pocztową **rs. 2 kop. 20.** Egzemplarze oprawne o **20 kop.** drożej.

WYDAWNICTWA „PRAWDY.“

J. Brandes. **Główne prądy literatury XIX w.**, tomów cztery, tł. K. Lewald — rs. 6.

Ekonomia polityczna według najznakomitszych badaczów niemieckich ułożona — rs. 3.

L. Liard. **Logika**, tłom. K. Lewald — rs. 1.

A. Espinas. **Społeczeństwa zwierzęce** wraz z dodatkiem ogólnych dziejów socyologii — rs. 3.

Uwaga. Wszystkie powyższe dzieła abonenci *Prawdy* nabywać mogą **za połowę ceny.**

E. Tylor. **Zmyślność i moralność roślin (w oprawie)** — rs. 1.50.

L. H. Morgan. **Społeczeństwo pierwotne,** czyli badanie kolei ludzkiego postępu od dzikości przez barbarzyństwo do cywilizacyi, przekład **A. Bąkowskiej** — rs. 3.

J. Barni i A. Krzyżanowski. **Męczennicy myśli** (w oprawie) — rs. 1.

W. Okoński. **Dramaty** (Antea, Na targu, Helvia, Poddanka, Błazen, Za maską) — rs. 1.

— **O życie,** powiastki: Chawa Rubin, Karl Krug, Damian Capenko — kop. 50.

— **Niewinni,** dramat w trzech aktach — kop. 80.

Dr. Azam. **Charakter w zdrowiu i w chorobie** — kop. 40.

N. Hirszband. **Byron w urywkach,** kop. 50.

Dr. F. Rajkowski. **Poradnik lekarski** wraz z apteką domową (w oprawie) — rs. 1.

K. Lewald. **Historya XIX w.**, od r. 1800—1888 — rs. 3. k. 90.

E. B. Tylor. **Antropologia** z ilustracyami, przekł. A. Bąkowskiej — rs. 2.

M. Mignet. **Historya Rewolucyi francuskiej**, tomów dwa—rs. 2.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Staraniem **Spółki Nakładowej** wyszedł z druku:

Henryka Heinego

WYBÓR PISM

tom III-ci i zawiera:

Księgę Le Grand oraz Noce florenckie,

w przekładzie

Maryi Konopnickiej.

Cena rubel jeden, na przesyłkę kop. 15.

Do nabycia w Administracyi „Prawdy“:

ENCYKLOPEDYA DLA DZIECI

(ilustrowana).

Cena zniżona: rs. 1 kop. 50, z przesyłką pocztową rs. 1 k. 65. Egzemplarze oprawne o 20 k. drożej.

ŚPIEWNIK DLA DZIECI

z tekstem M. Konopnickiej i muzyką Z. Noskowskiego.

Wydanie ozdobne, z rysunkami Władysława Podkowińskiego, zawiera 50 piosenek z towarzyszeniem fortepianu i tekst oddzielny.

Cena rs. 2 k. 50, z przesyłką rs. 2 k. 70.

Spółka Nakładowa

Brandes Jerzy. Główne prądy literatury europejskiej XIX w., tom V. Szkoła romantyczna we Francyi, z portretem autora, str. 402 — rs. 1.50.

Chmielowski Piotr dr. Autorki polskie w. XIX, studyum literacko-obyczajowe, ozdobione sześciu portretami, str. 541 — rs. 2.

Gumplowicz L. System socyologii — rs. 3 kop. 30.

Heine Henryk. Wybór pism, t. I, w przekładzie Maryi Konopnickiej, Józefa Kościelskiego, Aleksandra Kraushara i in. Wydanie ozdobne, z portretem autora, str. 298 — kop. 60.

— Wybór pism, t. II. Podróż do Harcu, Włochy, w przekładzie M. Gawalewicza, C. Jelenty i Maryi Konopnickiej, str. XIII i 328 — rs. 1.

A. Okolski. Ustrój państw europejskich i Stanów Zjednoczonych Ameryki — rs. 3.

Smoleński Władysław. Drobna szlachta w Królestwie Polsk., studyum etnograficzno-społeczne, str. 66 — kop. 60.

— Przewrót umysłowy w Polsce wieku XVIII, studya historyczne. 8-o, str. 424 i VI — rs. 2 kop. 50.

Spencer Herbert. Zasady etyki, z 3-go wydania oryginału angielskiego przeł. Jan Karłowicz, str. 310 — rs. 2.

Prus Bolesław (Aleksander Głowacki). Szkice i obrazki, tomów cztery, z portretem autora — rs. 5, w ozdobnej oprawie rs. 6 kop. 20.

Światełko, książka dla dzieci, napisana zbiorowo przez grono autorów polskich. W ozdobnej oprawie, z drzeworytami w tekście, str. 274 — rs. 1.

Na koszta przesyłki do każdego rubla należy dołączyć kop. 15.

Biuro i eksped. **Spółki Nakładowej** Warszawa, Żórawia 34.

Redaktor i wydawca dr. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 21 Марта 1896 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa ul. Mazowiecka, Nr. 8